№ 21. Warszawa, dnia 22 (10) Maja 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZARZEWIE BAŁKAŃSKIE.

Blokada portów greckich jest gaszeniem pożaru na ostatniem skrzydle rudery bałkańskiej. Że tyle sikawek ze słynnej fabryki „koncertu europejskiego“ zdoła zalać ogień heleński — nikt nie wątpi i nikt z tej zabawki obaw nie czerpie, choć wszyscy usiłują nastraszyć lękliwego „ru[illegible]a.“ Na dziś więc „kwestya wschodnia“ może być uważana za wstrzymaną w swym rozwoju. Z jakim rezultatem? Ostatecznie drobny jej węzełek — bułgarski rozwiązał się z nowego splotu. Chociaż ks. Aleksander został mianowany tylko gubernatorem Rumelii z dokuczliwemi ograniczeniami, zjednoczenie Bułgaryi jest już prawie dokonanem. Gdyby innych pobudek brakło, sam ten fakt, że każda rewolucya na półwyspie Bałkańskim bodaj częściowo cel swój osiąga, wystarczyłby jego ludom za podnietę do dalszych pokuszeń. Nie uda się wszystko, ale uda się coś — taki wniosek wyciągają one z doświadczenia i długo jeszcze opierać będą na nim swą politykę i jej śmiałe przedsięwzięcia. Ludy owe, pomimo niskiej cywilizacyi i braku przewodników genialnych, pojmują doskonale cichą, grzecznościami dyplomatycznemi osłanianą walkę mocarstw przy łożu i szkatule „chorego człowieka,“ pojmują ścieranie się wielostronnych interesów i dążeń, z których mogą wyciągnąć dla siebie zyski. Przez dziwny kaprys losu te narody drobne, długo gnębione a dotąd lekceważone, grają nieraz obecnie rolę „trzeciego, który się cieszy“ i korzysta z kłótni innych. Dla Europy, dla społeczeństw niebędących przedmiotem licznych zabiegów, owa sieć spekulacyj politycznych, rozpostarta na półwyspie Bałkańskim, jest niepożądaną; ale dla niektórych jego ludów stanowi warunek bardzo przyjazny, bo po zadziergach tej sieci, po skrzyżowanych mieczach dyplomacyi, niby po schodach, wznoszą się one do samodzielności. Gdyby „koncert europejski“ istniał rzeczywiście, a nie pozornie, gdyby jego czynniki zdołały się nastroić zgodnie, w tej chwili Słowiańszczyzna południowa zeszłaby z widowni i może na zawsze. Żyje ona dziś kłótnią swych opiekunów.

Jak wiadomo, istnieje w Indyach kotlina, która ma być gniazdem cholery. Taką kotlinę zarazy politycznej widzi Europa w półwyspie Bałkańskim. Co rok niemal lęgnie się tam zakaźna gorączka, która rozpościera się szeroko i utrzymuje świat w niezdrowiu. Świat ten, o ile jest zbiorowiskiem istot uprzywilejowanych, zasłuchanych tylko w potrzeby samolubstwa i szanujących zasadę faktów spełnionych, z których ono wysysa korzyści — ma ze swego stanowiska słuszność skarżyć się na tę peryodyczną epidemię, na chorobliwe dreszcze. Francuzi, anglicy, niemcy itd. zapewne woleliby, ażeby raz nastąpił zgodny rozdział spadku po „chorym człowieku,“ ale niewolnicy, należący do inwentarza, mają gust inny. Nic ich nie przeraża bardziej, jak harmonia między współzawodnikami, a nic bardziej nie cieszy, jak ostre między nimi waśnie. Śmiertelna trwoga ogarnia półwysep Bałkański, ile razy sklei się na chwilę i kilka strojnych taktów zagra „koncert europejski;“ natomiast jaka radość, gdy w orkiestrze wystąpi rozdźwięk! Przez całe trwanie obecnego zatargu rozdźwięk ten, mimo wszystkich tłumików, odzywał się ustawicznie i dlatego Bułgarya przeprowadziła unię. Na tej sprzeczności interesów wyrośnie niejedna jeszcze gałąź południowej Słowiańszczyzny, podczas gdy zostałaby obłamaną lub uschłaby w niewoli każda, którąby otoczyła swą życzliwością zgodna wola opiekunów.

Logicznie wynika z tego, że ich nieporozumienia, że powolne kroki pochodu „kwestyi wschodniej,“ że — słowem — utrzymywanie się chaosu na półwyspie Bałkańskim leży w interesie jego ludów? Niewątpliwie, o ile dyplomacya broni stosunków sztucznych i nie pozwala na ich układ naturalny. Gdyby wszystkie grupy etnologiczne otrzymały tam niepodległość w właściwych granicach, byłoby to dla nich i dla ich pobratymców rozwiązaniem najlepszem. Ponieważ wszakże rozwiązanie takie jest dziś niemożliwem, od martwego spokoju więcej warta owa fermentacya polityczna, oddziaływająca przeciwko gospodarstwu samowoli, przeciwko świętości faktów dokonanych bezprawną siłą, przeciwko sztucznym karbom państwowym. Na głównych arenach życia politycznego, w ogniskach cywilizacyi słyszymy tylko gwar ścierania się i równoważenia rachub egoistycznych; idea narodowościowa, będąca dziś dla wielu społeczeństw główną, zamilkła tam zupełnie. Kto jej broni w Niemczech, Anglii, Francyi, Włoszech, Hiszpanii? Tam toczą się jedynie rozprawy o materyalnych i państwowych zyskach. Że w nich przepada jakiś naród, jakaś kultura — to nikogo nie boli. Tymczasem idea owa nie schodzi ze sztandarów walki na półwyspie Bałkańskim, który jeszcze ją światu przypomina i dla niej ofiary składa. Ktokolwiek zaś dba o to, ażeby owa zasada nie została zatarta w polityce, lub nie była uważana za przestarzałe godło, za archaiczny napis, ten musi sympatyzować z nią, wypisaną świeżo na chorągwiach. W kłębku „kwestyi wschodniej“ plączą się nici narodowe, które z innych zagadnień politycznych całkiem usunięto, dlatego ma on szczególną wagę.

Nie należy więc ubolewać, że kwestya

ta nie została w obecnych warunkach ostatecznie rozciętą i że ona pozostaje dla przyszłości jako zarzewie, z którego nieraz jeszcze rozpali się ogień. Ogień ten jest dobroczynny, bo trawi miazmaty polityczne, a przytem rzuca jasne odblaski w ciemną otchłań samolubnych interesów. Tam ludy walczą o prawa narodowe i długo jeszcze walczyć o nie będą — niech ten bój nie kończy się, dopóki życie dostarcza mu pola i broni.

Ważna zmiana.

Zakres działalności inspektorów fabrycznych został rozszerzony. Dozór państwowy obejmie nietylko pracę kobiet i małoletnich, jak było dotychczas, ale w ogóle wszystkie warunki pracy robotników w fabryce. Pisząc o ustanowieniu rządowej inspekcyi fabrycznej, przewidywaliśmy, że rozszerzenie jej kompetencyi musi wkrótce nastąpić; rzeczywiście i przykłady innych krajów i zdrowy rozsądek wskazują, że jest ono koniecznem. Jeżeli inspektor pragnął sumiennie spełniać swe zadanie, nie mógł poprzestawać tylko na dopilnowaniu, żeby liczba godzin pracy odpowiadała przepisom, lub żeby zakaz roboty nocnej ściśle był wykonywany. Nietylko miał on prawo, ale i obowiązek wymagać zachowania przepisów sanitarnych, zaprowadzenia środków ostrożności, winien był uważać, czy przedsiębiorcy nie dopuszczają się nadużyć, zwłaszcza przy wypłacie itp. Słowem, dozór stosować się musiał do mnóstwa spraw, które z położeniem kobiet i małoletnich pośredni tylko mają związek, w rzeczywistości zaś więcej nieraz znaczą, aniżeli ograniczenie godzin pracy lub robota nocna; inspekcya nie miała odpowiedniej władzy i prawa, ażeby zmusić fabrykantów do zaprowadzenia zmian pożądanych.

Podobny przykład dają nam dzieje prawodawstwa fabrycznego w Anglii, które wyrabiało się w tym kraju stopniowo, w miarę wymagań praktyki. Inspekcya państwowa obejmuje tam z początku jedynie pewne kategorye małoletnich i to w niektórych tylko gałęziach pracy, a z biegiem czasu powoli rozszerza swój zakres; dzisiaj stosuje się już ona do wszystkich robotników i do wszystkich rodzajów pracy fabrycznej. W innych krajach prawodawstwo przechodziło podobną kolej; w Szwajcaryi tylko i po części w Niemczech odrazu wyłoniło się w mniej lub więcej skończonej formie, skorzystawszy z doświadczenia innych państw. Rosya wybrała drogę pośrednią: przepisy o pracy kobiet i małoletnich uwzględniają wymagania teoryi i przykłady cudze, ale stanowiąc część tylko ustawodawstwa fabrycznego, pomimo swych zalet, nie mogły wywrzeć wielkiego wpływu na polepszenie warunków bytu klas pracujących. Po roku zaledwie istnienia nowej instytucyi okazało się już potrzebnem rozszerzenie sfery jej działania.

Oprócz wyszczególnionych powyżej względów, przemawiały również za rozszerzeniem inspekcyi państwowej okoliczności czysto praktyczne. Niska cena pracy pozwalała fabrykantom usuwać zupełnie małoletnich i kobiety od zajęć i zastępować ich robotnikami dorosłymi, zasłaniając się w ten sposób od kontroli inspekcyi. Tymczasem takie hurtowne wydalanie kobiet i dzieci odbiło się na budżecie rodzin robotniczych, ponieważ wobec obfitości rąk, poszukujących pracy, zarobek dorosłych robotników nie powiększył się wcale. Z jakichkolwiek pobudek nastąpiła zmiana, faktem dziś jest, że inspekcya fabryczna posiada obszerną władzę uregulowania i poprawy warunków bytu klas pracujących. Na tej drodze działalność inspektorów spotka jednak przeszkody, które usunąć jak najrychlej należy zapomocą odpowiedniego prawodawstwa. Obecnie istnieją tylko przepisy, dotyczące bardzo nielicznych szczegółów wewnętrznego urządzenia fabryk i stosunku między pracodawcą i robotnikiem; większość tych rozporządzeń nie odpowiada bynajmniej wymaganiom dzisiejszych warunków życia. Właściwie inspekcya powinna pilnować tylko ścisłego wykonywania przepisów, jeżeli zaś te nie istnieją lub stosują się do niektórych stron życia fabrycznego, działalność instytucyi państwowej pozostanie ograniczoną i skrępowaną, rozumie się, nie wyda żadnych dodatnich rezultatów, lub łatwo przejść może w samowolę, która bez względu na to, jakie ma pobudki i zamiary, nigdy nie jest pożądaną. W Radzie państwa leży projekt do prawa, określającego stosunki między pracodawcą i robotnikiem. Pomijając treść tej ustawy— o ile sądzić można ze wzmianek dziennikarskich, wzmacniającej uprzywilejowane stanowisko przesiębiorcy—zaznaczyć trzeba, że wypełnia ona dopiero jedną tylko lukę w prawodawstwie fabrycznem.

Jeżeli nawet prawodawstwo to, jak chcą niektórzy, opierać się powinno na wymaganiach praktyki, stwierdzonych przez inspektorów, to i wtedy z dotychczasowych sprawozdań i ujawnionych w drodze urzędowej faktów wydobyć można ogólne zasady nowych przepisów. Niech prawodawstwo fabryczne zamknie się w kilku zaledwie paragrafach, ale niech obejmie całokształt stosunków robotniczych, na takiej ogólnej podstawie dopiero doświadczenie wytworzyć zdoła szczegółowe przepisy. Za wzór służyć mogą zresztą prawodawstwa innych państw.

Po upływie lat kilku praktyka wskaże, co należy uzupełnić, co zmienić, a co zupełnie nawet usunąć. Bez odpowiedniego ustawodawstwa działalność inspekcyi fabrycznej nie rozwinie się wcale, ponieważ nie znajdzie punktu oparcia, którego nie dostarczą jej artykuły prawa ogólnego i rozporządzenia administracyjne. Wytworzenie prawodawstwa specyalnego leży zarówno w interesie pracodawców jak i robotników, dopiero treść jego wywołać może starcie sprzecznych wymagań.

L.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy na półwyspie Bałkańskim uważać można za pomyślnie załatwione do czasu nowego... zawikłania. Gazety zniosły już nawet specyalną rubrykę, poświęconą wiadomościom z Grecyi i Bułgaryi. Wprawdzie blokada trwa jeszcze, ale na czele gabinetu ateńskiego stanął p. Valvis, który zgodził się dokonać jak najspieszniej rozbrojenia i wiernie spełnia obietnicę. Mocarstwa, należące do „koncertu“ euro-

POWIEŚĆ.

Z CIĘŻKICH DNI.

II*).

Kaźmierczak szukał roboty, ale gdzie ją mógł znaleść?... Nikt nie potrzebował rąk nowych, ledwie dla dawnych zajęcia starczyło. Jeśli zaś spotkał którego z towarzyszów, jak on wałęsającego się po mieście niespokojnie, to popatrzyli podejrzliwie na siebie, zamienili kilka słów obojętnych i każdy szedł swoją drogą.

Szukać pracy w owej chwili — był to trud daremny, omylenie rozpaczy nadzieją, zabicie czasu pozorem. Niekiedy wprawdzie zdarzyło mu się ciężar jaki znieść z wozu, lub dopomódz przy jakiej robocie, ale tak rzadko, że nie opłaciło się wystawać całymi dniami na mrozie, lub włóczyć się za ładownemi furami.

Powracał do domu, ale gdy tam zobaczył smutną twarz żony i coraz bardziej chudnące buzie dziecinne, to go coś gwałtem prawie wyrzucało z izby i milej mu było stać na śniegu, wietrze, zawierusze.

Z początku było jeszcze jako tako. Kaźmierczaków znano, wiedziano, że on nie był pijakiem, że ona pracowała i zabiegała, kredytowano im w jednym i w drugim sklepiku, oszczędzali się też straszliwie, rachowali kartofle, kładzione do garnka.

— Aby do wiosny — mówiła kobieta.

Zdawało jej się, że z wiosną musi złe przeminąć, a przynajmniej będzie łatwiejszem do zniesienia przy wesołem słonku. Ale mąż nie odpowiadał, wiedział dobrze, iż wiosna chleba nie przynosi.

— Będą murować domy — mówiła niewyczerpana w nadziejach Kaźmierczakowa — najmiemy się oboje do pompy...

Ha! może i miała słuszność. Domy przecież co lato się budują i pomocników murarzom potrzeba, ale czy to się człowiek dociśnie.

— Co się nie ma docisnąć — odpowiadała żona, gdy jej swą wątpliwość objawił. A w duszy myślała że przecie ona także miała pięście i rozbijałaby niemi ludzi, coby jej na drodze stawali, bo jak spojrzała na Józkę, której twarzyczka zrobiła się sucha i maleńka, jak u kościanego dziadka, na Leosia i Władka, w których oczach paliła się gorączka głodu i na Kaśkę, co nie znajdując dość mleka w piersi matczynej, stała się płaczliwą i jak wosk żółtą—to jej—dobrodusznej i wesołej zwykle—wzbierała w piersiach wściekłość dzika.

Dawniej, jeśli przypadkiem podmiejską ulicą przechodziła jaka strojna pani, Kaźmierczakowa przypatrywała jej się ciekawie, nawet z przyjemnością; bawiły ją piękne barwy, kapelusze z piórami, mufki, parasolki. Dziś, kiedy jej zbrakło chleba, gdy jedne po drugich poduszki i pierzyna szły na zastaw do żyda, jeśli widziała dostatnio ubraną kobietę lub mężczyznę, owiniętego futrem, jeśli powóz jaki, zaprzężony pięknymi końmi, zaturkotał, przychodziły jej niedobre myśli, czuła, iż nienawidziła tych bogaczów, którzy nie znali niedostatku, nigdy pewno nie byli głodni, a jeśli zmarzli na dworze, pomimo swych futer i powozów, wracali do ciepłych pokojów, zasiadali do pełnych talerzy.

Takie piękne pokoje widywała ona, gdy siostra jej służyła u państwa na Złotej ulicy. Kaźmierczakowa chodziła czasami do niej w niedzielę, a kiedy państwo wyszli po obiedzie na przechadzkę, siostra pokazywała jej pokoje, których było aż cztery. Kaźmierczakowa dziwiła się bardzo, na co dwojgu ludziom cztery pokoje, ale nie przyszło jej do głowy zazdrość im tego. Albo to jej było źle w swojej izbie z dziećmi i z obcymi ludźmi, miała zawsze do kogo usta otworzyć, z kim się pośmiać. Myślała nawet, co to za straszne sprzątanie — aż cztery pokoje zamieść i wyczyścić, trzebaby już nic innego nie mieć do roboty; myślała także, czy to nie szkoda chodzić po takich pięknych, wzorzystych

*) Patrz nr 19.

pejskiego, cieszą się, iż honorowi ich stało się zadość; Turcya tylko nie bardzo jest zadowoloną z przebiegu sprawy, przeczuwa bowiem, że przy pierwszej lepszej sposobności Grecya wystąpi znowu ze swemi pretensyami.

Rząd serbski nie może dotychczas obrachować, czy będzie miał w skupczynie większość, czy też nie. Co dzień prawie zmienia się prawdopodobny stosunek głosów.

15 maja upłynęło czternaście lat od wyrzeczenia przez Bismarka pamiętnego zdania: „nie pójdziemy do Kanossy, w tym dniu właśnie ukończono obrady w sprawie kościelnej i dziś cała prasa gadzinowa śpiewa stosowną piosnkę „der Nuntius kommt.“ Prawo o mianowaniu nauczycieli w prowincyach wschodnich przez rząd przeszło ostatecznie w sejmie pruskim, nie zrobiono wyjątku nawet dla miast, chociaż przepisy te gwałcą zasady samorządu.

W miasteczku Spremberg, w Brandenburgii, z powodu poboru rekrutów wybuchły rozruchy, w których przyjęli udział socyaliści i rozwinęli czerwoną chorągiew. Błahy ten wypadek posłużył za powód rządowi do nowego ograniczenia wolności a mianowicie swobody zebrań. Na mocy 28 art. ustawy przeciw socyalistom wydano rozporządzenie, mocą którego wszelkie zebrania, na których poruszane będą sprawy publiczne, muszą być zapowiedziane na 48 godzin wcześniej i pozyskać zezwolenie policyi. Przepis ten krępuje wolność polityczną wszystkich stronnictw, socyal-demokratom zaś najmniej daje się we znaki. Teraz np. urządzają oni zebrania dla organizacyi wielkiego bezrobocia mularzy i cyzeni, to bez przeszkód, ponieważ bezrobocie nie jest bynajmniej „sprawą publiczną.“

O zaburzeniach robotniczych w Ameryce nie ma świeżych wiadomości.

Ale w Europie ruch proletaryatu, pomimo ciągłych niepowodzeń, daje znaki życia. W Brukseli zwołuje się wielki meeting, na który ma przybyć około 200,000 robotników. W Lombardyi, zwłaszcza w okolicach Pawii, wznowiły się rozruchy rolne.

Bil o samorządzie irlandzkim spotyka ciągle namiętną opozycyę. Ustępstwa, na które zgodził się Gladstone, nie rozbroiły przeciwników, prowadzą się jednak układy, w skutek czego rozprawy umyślnie przeciągają się za pomocą dawno używanego z powodzeniem przez parnelistów środka, mianowicie zapisywania do głosu coraz to nowych mówców, którzy przez kilka godzin nudzą Izbę. W prowincyi Ulster, zamieszkanej głównie przez protestantów, sprowadzonych niegdyś z Anglii i Szkocyi, przygotowuje się tymczasem opozycya przeciw projektom irlandzkim pierwszego ministra. Protestanci z Ulsteru w razie przyjęcia bilu grożą powstaniem zbrojnem, zjawiły się nawet wiadomości, że na czele ruchu stanie generał Wolseley, b. dowódca armii angielskiej w Egipcie. Zdaje się jednak, że jest to poprostu alarm, wytwarzany umyślnie przez przeciwników samorządu, na wszelki wypadek jednak rząd przedsięwziął środki ostrożności i powiększył liczbę wojsk w Irlandyi.

Królowa hiszpańska urodziła syna, sprawa następstwa tronu jest więc rozstrzygniętą, ale nie los monarchii i dynastyi, ponieważ podczas długiej małoletności króla karliści i republikanie będą mieli ułatwioną sposobność wywoływać rewolucye.

Anglia, po zajęciu Birmy i uwięzieniu króla, nie wyzwoliła się z kłopotów. W kraju tym wybuchło powstanie, które robi znaczne postępy. Niedawno birmańczycy zdobyli napowrót stolicę państwa-Mandalaj i spalili ją.

Francya zajęła na własność wyspy Komorskie na oceanie Indyjskim, w pobliżu wschodniego wybrzeża Afryki, i miała również chęć zagarnąć Nowe Hebrydy w Oceanii, ale przeciw temu zaprotestowali anglicy.

Rumunia odrzuciła projekt traktatu handlowego z Austryą, krok ten samodzielny gazety wiedeńskie tłomaczą zbliżeniem się rządu bukareszkiego do Rosyi.

O ROZRUCHACH W GALICYI *).

Swobodnie i z krwią zimną rozpatrzeć się już można w zaszłych podczas wielkiejnocy rozruchach chłopskich w Galicyi. Wcześniej, swobodnie, zwłaszcza zaś z krwią zimną trudno było myśleć o nich. Trudność tę sprawiała wywołana przez nie w świecie wrzawa, bardziej skoncentrowana i wyraźniej zaakcentowana aniżeli ta, jaką spowodowały rozruchy irlandzkie, belgijskie, francuskie, amerykańskie i inne. Poszło to stąd, że akcent nadali im „nasi najserdeczniejsi“ tą żółcią, jaką bryznęli na „szlachtę polską.“ Hajże na Soplicę!“—zabrzmiało na okręgu koła szerokiego, poczynającego się w Berlinie, kończącego się w Berlinie a obchodzącego wszystkie ziemie, co niegdyś należały do składu Rzeczpospolitej polskiej. „Szlachta polska,“ „gospodarka szlachecka,“ „żond,“ „jezuickopolska intryga“ i tym podobnemi technicznemi wyrażeniami naszpikowane gęsto artykuły gazeciarskie obwieściły *urbi et orbi* o zaburzeniach, które miejsca nie miały. Tym sposobem chciano przekonać wszech wobec i każdego z osobna, że wytępianie żywiołu polskiego, praktykujące się tu i tam, jest rzeczą słuszną, sprawiedliwą i potrzebną.

O! jakże nas nienawidzą — „nas“ — powiadamy—albowiem, chociaż niby o szlachtę chodzi, rozumiemy bardzo dobrze tę figurę retoryczną, która polega na przedstawianiu całości za pomocą części. Wszystkim zapomniano, z wyjątkiem nas, że szlachta była narodem politycznym i dziś tam nawet, gdzie naród ów pozbawiony jest głosu całkowicie, doszczętnie, występuje on zawsze, jako przedmiot pocisków, usprawiedliwiających narzucanie chłopom po szkółkach i w urzędzie... języka niemieckiego i wyciskanie ich z siedlisk ojczystych przez kolonistów... niemieckich. Rozumiemy doskonale, co figura ta znaczy i czem jest ona brzemienną. Nienawiść, ze względu na źródło, z którego bije i na gatunkową jej wartość, może nam do pewnego stopnia zadowolnienie sprawiać. Bądź co bądź, świadczy ona, że czemś jeszcze jesteśmy, że coś przecie wyobrażamy — mianowicie to, czego nie wyobrażają ci, co nami słowem i czynem poniewierają. Wykazują się tu sprzeczności zasadnicze. Z natury rzeczy, z konieczności, czy chcemy czy nie chcemy, stoimy w obozie nie tym, w którym funkcyę wielkiego chorążego pełni ks. Bismark. To by nam zadowolnienie a nawet i pociechę sprawiać powinno, łechcąc próżność naszą. Próżność

*) Jakkolwiek *Prawda* zjawisko to już oświetlała, zasługuje ono jednak na objaśnienie drugostronne. *Red.*

---

dywanach, które widziała rozesłane na ziemi i siadać na takich miękkich, obitych jasną tkaniną kanapkach, że człowiek wpadał w nie, jakby w puch.

Dziś jednak, kiedy gospodarz wyrzucał ich z mieszkania, a ona sobie przypomniała te cztery pokoje, ustrojone niby kościół, to ją w gardle dusiło. Byłaby poszła do siostry i pewno coś dostała, choćby trochę tych resztek, które co dzień schodziły ze stołu; ale siostra od dawna leżała na cmentarzu.

— Antoni — mówiła Kaźmierczakowa do męża — dlaczego to jedni ludzie mają wszystko, co im przez myśl przejdzie, a drudzy, choćby sobie ręce po łokieć upracowali, muszą głód znosić i zdychać pod płotem...

— Ha!.. — odpowiadał ponuro — także umrą jedni jak i drudzy...

Kiedy ona myślała dzień i noc nad swojem nieszczęściem, kiedy ono pobudzało w niej jakieś nowe siły, jakieś dziwne uczucia, on wpadał w coraz większą apatyę i gotów był godzinami całemi siedzieć na miejscu i wpatrywać się mętnemi oczami w punkt jeden; tylko jeśli które z dzieci odezwało się skargą, jeśli Kaśka zapłakała głośniej, nasuwał czapkę na uszy i wychodził czem prędzej.

Z dnia na dzień częściej uciekał, bo z dnia na dzień było gorzej i ciężej. Już sklepikarka zakredytować ani bułki chleba nie chciała i gospodarz zapowiedział, żeby się wynosili, z łóżka i ze skrzyni zniknęło wszystko, co można było zastawić. Nędza więc wyzierała ze wszystkich kątów izby, kiedy w miesiąc po owym dniu fatalnym zamknięcia fabryki, ojciec matka i dzieci siedzieli razem przy cyganku bez ognia, na który nie było co wstawić.

Od tej nędzy wynieśli się przed kilku dniami posługacz z żoną, którzy odnajmowali pół izby. Kaźmierczakom było to wszystko jedno. I tak przecież gospodarz ich wyrzucał.

— Dobrze, iż przynajmniej Adamek jest w terminie, ciężko mu tam bo ciężko harować musi, wszyscy się nim wyręczają, ale przynajmniej ma byt, łyżkę strawy; wyjdzie na ludzi... — tak mówiła Kaźmierczakowa, której głód zaostrzał myśli.

— Adamek w terminie...— przywtórzył ociężale ojciec. Na słowo jednak „dobrze“ zdobyć się nie mógł.

I znowu nastała cisza wielka. Ciemność zupełna panowała w izbie, nie było za co kupić nafty, a choćby nawet i było, toż pilniejszy kawałek chleba, niż światło, żeby przy niem lepiej jeszcze przyglądać się własnej nędzy. Tylko przez okno wpadało światło niezbyt oddalonej latarni, której płomień kołysał się od wiatru i rzucał ruchome błyski na nagie ściany i brudną podłogę.

W tem drzwi skrzypnęły i jakaś niewyraźna postać wsunęła się do izby w milczeniu.

Kaźmierczakowie nie mieli powodu lękać się złodziei, ojciec nawet się nie ruszył. Kto wchodził, to wchodził, może jaki nowy lokator, co miał zająć ich miejsce. Ale matka zapytała:

— Kto tam?

— To ja... — odparł głos cienki, nieśmiały i przerywany, jakby wydająca go istota drżała z zimna czy ze strachu.

— Co za ja?... — pytała znowu, ale teraz z widocznym niepokojem.

Odpowiedzi nie było. Tylko migocące światło latarni padło na drzwi i ukazało wychudłą postać kilkunasto-letniego dziecka, drżącą, w połatanym spencerku.

— Adamek! — zawołała matka, załamując ręce.

A chłopiec przypadł jej do kolan i zaczął szlochając opowiadać nieszczęście, jakie go spotkało. Nieszczęście bardzo zwyczajne w doli terminatora. Zgubił pieniądze, które miał na sprawunek. Majster go zbił niemiłosiernie i obiecał mu drugie tyle razów, jeśli pieniędzy nie odniesie. W dodatku nazwał go złodziejem. Adamek uciekł do rodziców.

Ciemność nie pozwoliła na razie matce dostrzedz skrwawionej twarzy i podbitych oczów swego dziecka, ale przeczuła to, podeszła z nim ku oknu, ku temu światłu, które tu słała latarnia i nagle łzy wezbrały jej do oczów, a łkanie podniosło się z piersi.

jednak jest dla nas zbytkiem za kosztownym i dlatego w ocenie przez naszych najserdeczniejszych rozruchów galicyjskich szukać będziemy nie zadowolnienia próżności, ale istoty rzeczy.

W Galicyi rozruchów nie było; było jednak zaniepokojenie, które by się przejawić nie mogło, gdyby nie istniały wywołujące je przyczyny: nędza i ciemnota pomiędzy ludem wiejskim.

Nędza i ciemnota!

Ten zaznaczony przez nieprzyjaciół naszych z naciskiem fakt ma za sobą słuszność zupełną. Z faktu wydobyty został zarzut. Ciemnota i nędza jawią się po dwudziestu sześciu latach życia autonomicznego — jako wynik samorządu, w którym rej wodzi szlachta polska. To prawda. Wyiązuje się stąd oskarżenie ciężkie! Jakto! — szlachta—ta szlachta, co przed dwudziestu sześciu laty przeszła w ciągu lat osiemdziesięciu ośmiu ciężką i trudną a bolesną szkołę doświadczeń życiowych, ta sama szlachta, u gdy u steru stanęła, okazała jeno, że z doświadczenia nie odniosła korzyści najmniejszej? To znów prawda. Faktowi temu, przedstawionemu w oderwaniu, zaprzeczyć nie sposób. Niestety, tak jest: doświadczenia przeminęły bez korzyści i, mimo ogólne uznanie potrzeby skojarzenia ściślego warstw społecznych, mimo deklamowanie na temat braci starszej i braci młodszej, mimo takiej, jaką był rok 46, lekcyi, mimo znoszącej różnice stanów konstytucyi, mimo wszystko — rzeczy zostały po dawnemu. Chłop nie ufa szlachcicowi; szlachcic boi się chłopa. Wzięła się, nie wiedzieć skąd, wieść niedorzeczna i sprawiła popłoch, który się echem szerokiem w Europie całej odbił — na wstyd i na sromotę nam. Piękny zaiste rezultat samorządu! Nieprzyjaciele nie omieszkali rezultat ów do denka wyzyskać, dla wykazania konieczności zastąpienia w Galicyi szlachcica — niemcem. Nie zapominajmy, że „szlachcic," w ustach najserdeczniejszych naszych, jest terminem retorycznym, ściśle bowiem a z punktu prawnego rzecz biorąc, w Galicyi niekoniecznie szlachta przewodniczy. Smolka, Ziemiałkowski, Zyblikiewicz szlachcicami nie są. Szlacheckość w rozumieniu prawnopolitycznem służy za dekoracyę teatralną, w istocie zaś odgrywa rolę redaktora odpowiedzialnego, który, gdyby chciał i umiał, mógłby pełnić funkcyę rzeczywistą. Nie chce jednak i nie umie.

Oto, według nas, tłomaczenie i usprawiedliwienie nad wyraz wszelki smutnego stanu rzeczy w Galicyi.

Szlachcic polski mógłby pełnić funkcyę rzeczywistą, gdyby chciał i umiał. Nie chce jednak i nie umie. Czemu? Jest to następstwo jakiejś przyczyny, nad którą się nie zastanawiały i której nie dochodziły, piszące o niedoszłych rozruchach, gazety ani krajowe, ani zagraniczne. Niechcenie nie zawsze bywa wynikiem fantazyi czystej; nieumienie jest zawsze wypadkową ciemnoty umysłowej. Zobaczmyż, co sprowadza pierwsze, na czem polega drugie.

Samorząd galicyjski zdaleka przedstawia się dziwacznie. Kraina używa swobody konstytucyjnej, na podstawie federacyjnego zinnymi, do składu państwa wchodzącymi, krajami związku posiada sejm własny, wysyła przedstawicieli interesów swoich do sejmu państwowego; przyznane ma prawa narodowe; jest w sobie sobą, pod dozorem wprawdzie, ale pod dozorem względnym i łagodnym, głaskającym ją pod brodę, klepiącym po ramieniu i niezabraniającym jej w kontuszu przy karabeli nietylko na gruncie ojczystym, ale nawet we Wiedniu paradować. Są to, wyznać należy — przez porównanie o rzeczy sądząc — swobody ogromne, z któremi łączą się i inne jeszcze, bardziej dozorowane, nie tak atoli, ażeby się kraina na drodze narodowej rozwijać nie mogła. Tak — rozwijać by się ona mogła, gdyby na rozwoju jej nie ciążyły dwie zmory, neutralizujące w niej jedna chcenie, druga umienie. Neutralizująca chcenie na tem polega, że podczas, kiedy inne do Austryi należące kraje posiadają konstytucyę konstytucyjnie, galicyjska jest gmachem na piasku łaski monarszej zbudowanym. Tak się cesarzowi Franciszkowi-Józefowi podobało. Podobały mu się kontusze z wylotami, pasy lite i miny od krocset. Podobali się mu *schöne aber dumme* *) *Leute*, najlepiej w mniemaniu rycerskiego monarchy nadający się na *Kanonenfutter*. Nadał im przeto z własnej, wolnej i nieprzymuszonej woli konstytucyę, którą, jak i kiedy się mu podoba, uszczuplić, zmienić, tak lub inaczej pokierować, a nawet całkowicie cofnąć może. Wobec konstytucyi takiej, cóż chcenie szlachty, czy nieszlachty znaczy? W położeniu tego rodzaju chcenie wszelakie oglądać się musi na upodobanie nadawcy najprzód i następnie na politykę gabinetu. Kraina pozostaje na łasce pańskiej. Najpierwszem przeto i najważniejszem kierowników samorządu galicyjskiego zadaniem jest skarbienie owej łaski, której postradanie wystawiłoby Galicyę na gorsze w pasy i popręgi ujęcie, aniżeli to, jakiemu podlega Poznańskie. Wyznać należy, że jest to położenie niezmiernie trudne, zdolne wytworzyć jedno tylko: serwilizm — to znaczy, takie gospodarki autonomicznej kierowanie, ażeby kierunek jej dogadzał przedewszystkiem i nadewszystko widokom i interesom państwa. Z tego powodu gospodarka galicyjska jest bezpośrednią i bezwzględną wynikłością austryackiej. Chcenie takie lub owakie na nic się tu nie przyda. „Skaczy, wraże, jak pan każe."

W zaraniu ery konstytucyjnej nie rozumiano tej konstytucyi w zastosowaniu do Galicyi właściwości i okazywano zachcenia, mające na celu poprawę stosunków społecznych. Polonizm wogóle stał w obozie opozycyjnym, wywieszał sztandar postępowy, zdradzał dążenia liberalne, nie przezywał demokracyi „tromtadracyą" i nie wystawiał jej na ośmieszenie. Wówczas rząd popierał rusinów, rozbudzając pomiędzy nimi a polakami przeciwieństwo na polu spółubiegania się o względy we Wiedniu. Rusini faworów na rzecz swoją wyzyskać nie umieli; krzątaniem się swojem wystawili na szwank konstytucyę; dowiedli nieudolności w trzymaniu się pomiędzy dwiema wodami i dali się ubiedz polakom, którzy z orężem i pakunkiem opozycyjnego przeszli do rządowego obozu. „Stoimy i stać chcemy." Słowa te, które w chwili, gdy wyrzeczonemi zostały, wielkie i powszechne w Galicyi sprawiły zdumienie, wytworzyły osobny, galicyjsko-austryacki patryotyzm, pchający biedną krainę po pochyłości wstecznictwa coraz to niżej. W spadaniu tem, w tem obniżaniu się idei postępowej dostrzedz można momenty pewne. Jednym z nich było wyrzeczenie przez Adama Potockiego powyżej przytoczonych wyrazów, które lody opozycyjne przełamały. Zdumienie prze-

*) O jednym z namiestników galicyjskich cesarz się wyraził: *Schön aber dumm.*

Nieraz już może majster zbił Adamka i ona o tem wiedziała, prosiła go nawet nieraz, by ręki nie żałował, a zrobił z niego człowieka. Ale co innego jest mówić, a co innego zobaczyć skatowane dziecko. Nieszczęście Adamka była to kropla, co przepełnia czarę. Wszystkie cierpienia, goryczę, nędzę zebrane w sercu, odezwały się naraz, ryknęła płaczem wielkim, przeklinając złego majstra i swoją dolę nieszczęsną, gospodarza, który ich wypędzał, sklepikarkę, co kredytować nie chciała, tych, co nie dawali roboty i tych, co byli spokojni, syci, w dostatku. Przeklinała świat cały i siebie na nim, męża i dzieci swoje, pochwycona paroksyzmem rozpaczy, jaka powstaje niekiedy nieprzeparcie w naturach gwałtownych.

— Ot, nie przeklinałabyś daremnie — odezwał się Kaźmierczak.

Ale słowo to podnieciło ją tylko. Głos jej podniósł się do najwyższego regestru. Zawodziła i krzyczała, dając folgę tej głuchej wściekłości, co wzbierała jej w sercu od jakiegoś czasu.

— Maryanno, daj pokój!.. — wyrzekł znowu mąż, a w słowach tych drgać się się zdawała i prośba i groźba razem.

— Co mi tam... — krzyczała, rzucając się ku niemu. — Niech raz powiem, co mi leży kamieniem. Przeklęta godzina, w której zobaczyłam cię po raz pierwszy. Żeby mi też przyszło z dziećmi na taką nędzę.

Byłby pijana żałem, głodem, gorączką. Nie była w stanie zważać na nic i na nikogo. Nie uważała nawet, że drzwi skrzypnęły i że mąż wyszedł niemi w późną godzinę, ledwo odziany.

Kaźmierczak zatrzymał się na pustej ulicy, jakby zapytywał sam siebie, gdzie idzie? po co? On chciał tylko uciec od tego głosu żony, od głodnych dzieci, od tego wszystkiego, czemu nie mógł poradzić. Ale gdzie idzie?.. Zdawało mu się, że przekleństwa żony biegną za nim, gonią, że je słyszy wszędzie koło siebie. I szedł wielkimi krokami, jak człowiek ścigany.

To, co go ścigało, tkwiło w nim samym i gnało go naprzód dalej, bez celu, bez drogi.

Wiatr mroźny napędzał gromady chmur czarnych, niby tabuny dzikich koni, które przelatywały strop niebieski, a na nim świecił blady sierp młodego miesiąca i mrugały miliony gwiazd, wydobywając się, to znów ginąc za chmurami, od których szły się na ziemi potworne, ruchome cienie!

Za miastem dopiero, przy plancie kolejowym, Kaźmierczak potknął się o zasuniętą baryerę i próbował zebrać myśli. Czuł się strasznie wyczerpanym, przeziębłym, głodnym, ale nad tem wszystkiem górowało jeszcze inne uczucie: bezsilności własnej, pogardy dla samego siebie, oraz strachu przed tem przekleństwem, którem przeciw niemu wybuchnęła własna żona.

Usta jego szeptały machinalnie:

— Maryanno, daj pokój!..—a w chwili, gdy wychodził z izby.

W tej chwili szum i błysk daleki, jakby ognistego smoka, doleciał go z przestrzeni, a gdzieś, na skraju widnokręgu, ukazało się okrągłe, rubinowe światło, niby oko ziejącego ogniem potwora.

Kaźmierczak patrzał w nie uważnie przez chwilę, potem jakiś blask postanowienia zaświecił w jego mętnych źrenicach.

— Daj pokój, Maryanno... — powtórzył prawie głośno, z akcentem groźby wyraźnym.

Schylił się pod baryerę, zbiegł na plant i rzucił się całem ciałem w poprzek szyn. W tej chwili czerwone światło z iskierki stało się wielkim kręgiem i biegło pędem lokomotywy wśród szumu, gwizdu, zgrzytu i jęku.

Kaźmierczak leżał nieruchomy. Cień chmury zakrył plant i jego postać ginęła w ciemnościach. Nagle rozdarła się zasłona obłoków i nad głową zaświeciły mu złote gwiazdy migotliwem spojrzeniem.

— Maryanno! daj pokój... — szeptały jego usta. Ale nim skończył, nadleciał pociąg i zmiażdżone ciało tylko pozostało na szynach.

Uciekł rzeczywiście od przekleństw, łez, skarg, nędzy, uciekł na zawsze.

W. Marrené.

minęło i szlachta galicyjska spółubiegać się o ordery i pchać do złotych kołnierzy poczęła, biorąc karyerę urzędową za jedno z korzyścią dla kraju. Drugi moment uwydatnia się w wystąpieniu stańczyków. Było ono dalszym i wyraźniejszym na drodze patryotyzmu specyficznego krokiem, pozbyciem się nietylko pretensyj, nadziej i mrzonek, ale i wstydu, wprzężeniem polonizmu bezwarunkowo w chomont austryacki i zrzeczeniem się, „za korzyść co jest marna, za trochę siana i ziarna," wszelkiej inicyatywy, wszelkiego chcenia na rzecz chcenia i inicyatywy pochodzenia wiedeńskiego. Stało się to pod przymusem, pod nożem na gardle, pod zagrożeniem przyznania praw pierworodztwa nie polakom, ale rusinom— to prawda. Służyć ona może warstwie przewodniej za usprawiedliwienie o tyle, że we względzie gospodarki przestawia odpowiedzialność. W Galicyi, od chwili mianowicie jak ona „stanęła i stać chce," prowadzi się gospodarka nie polska, ale austryacka.

Austrya nadała konstytucyę, którą chwili każdej odjąć ma prawo;

Austrya ustanowiła prawo wyborcze, dzięki któremu do sejmu krajowego i do rady państwa wprowadzać może kogo się jej podoba;

Austrya wreszcie udarowała Galicyę jezuitami i w sposób ten, we względzie umiejętności korzystania ze swobód konstytucyjnych, wprawiła ją w stan akurat taki, w jakim, z racyi takiegoż samego udarowania, znalazła się Polska w wieku XVII.

Biedna kraina korzystać by chciała; na nic atoli chcenie się nie zda — nie umie: jezuici ją przysiedli, chuchają na nią i na głowę jej obręcze swoje wbijają. W warunkach takich oświata ludowa, ten najpewniejszy pomiędzy klasami i warstwami społecznemi łącznik, traktowaną być może jeno jako żart, albo jako dziwactwo. Jezuici złożyli dowody, jak ją oni cenią; a ponieważ się nią rząd miernie troszczy, więc kto się troszczyć ma: czy szlachcic, sam ciemny? — czy żyd, który i szlachcica i chłopa wywłaszcza? Rozmyślając nad ćwierćwiekową przeszłością Galicyi, widzimy niemal stopniowanie pogrążania się jej w ciemnościach. Kroczenie naprzód znaczy się jedno od r. 1860 do 1866; od 1866 do 1871 okres wahania się; w 1871 następuje nagle zwrot wstecz i spadanie na łeb na szyję. Przyczyny zjawiska tego szukać prawdopodobnie należy w upadku Napoleona III, któremu polityka galicyjska przypisywała ochotę sprzymierzenia się kiedyś z Austryą w celu naprawiania różnych krzywd. Wypadnięcie cyfry tej z rachuby zbiło z tropu. Dopóki ona widniała, polonizm stawiał się okuniem; gdy jej nie stało, wnet, z pośpiechem wielkim kapitulował... przed jezuitami. Wpływ napoleoński, zauważony w literaturze, zaznaczył się i w polityce polskiej. Za termometr obniżenia temperatury liberalnopostępowej posłużyć może dziennikarstwo galicyjskie. We Lwowie pismo barwy niedemokratycznej czasu onego wychodzić nie mogło; w Krakowie *Czas* trzymał się ofiarnością możnych a obok niego *Kraj*, ostry i śmiały, przyoblekał się barwą socyalistyczną i nie raził nikogo. Dziś na Galicyę całą jedna *Nowa reforma*, szczerze demokratyczna, musi przekonania swoje wyprowadzać pomiędzy ludzi w przyodziewku bawełnianym, ażeby się, broń Boże, nie narazić z jednej strony prokuratoryi, z drugiej — czytelnikom. Jezuicka dłoń zaciężyła na dziennikarstwie, na czytelnikach, na chęciach, na pojęciach, na wszystkiem. Któż ją napowadził? Kto w drugiej wieku XIX połowie stał się dla Galicyi Hozyuszem? Czy szlachta?...

Zawiniła i ona. Przeciwko naciskowi konstytucyi, każdej chwili odwołalnej, przeciwko prawu wyborczemu, od rządu uzależnionemu i jezuityzmowi, zarazą moralną ziejącemu, bronić się mogła środkami i sposobami domowymi. Tego nie uczyniła. Na wsi, śród ludu mieszkając, z ludem się nie porozumiała, od lichwy go nie ochroniła i sama się na łup lichwy oddała. Zawiniła więc, ale winę jej oskrzydlają okoliczności łagodzące. Chciała—nie umiała: słodycz trucizny z góry w nią wsączanej umysł jej zamąciła. Zrzekłszy się inicyatywy, wyzyskać siebie i chłopów pod politycznym, społecznym, ekonomicznym, cywilizacyjnym, patryotycznym, pod względem każdym dała i dziś — nie dziw, że się jej widma rzezi przywidują. W czasach wszelako ostatnich postrzegać się daje w Galicyi coś, niby przychodzenie do opamiętania. Kraków, ów Kraków zaśniedziały, zakopcony, zamorfinizowany, omało że do Koła polskiego w Radzie państwa Romanowicza nie wysłał, no — i Asnykowi owacyę sprawił. Obyż w rzeczy samej objawy te były objawami upamiętania!...

T. T. Jeż.

LITERATURA I SZTUKA.

POSTĘP W SZTUCE.

Paryż, 15 maja.

(Salon tegoroczny).

Doroczna wystawa majowa w *Palais de l'Industrie* gromadzi, jak zwykle, liczne rzesze odwiedzających. W ślad za innymi przebiegłem ten malarski labirynt, mieszczący setki płócien, w dziesiątkach sal rozwieszonych. Nie mam zamiaru pisać szczegółowego sprawozdania z tego artystycznego targowiska. I ramy kroniki na to za szczupłe i uzbroić by się należało w erudycyę ciężkiego kalibru. Chodzi mi tylko o ogólne wrażenie, o pochwycenie jakiejś nitki Aryadny w tem chaotycznem zbiorowisku oślepiających barw i artystycznych efektów.

Co przedewszystkiem rzuca się w oczy przy przelotnem już obejrzeniu tego turnieju, to stan przejściowy, w jakiem dzisiejsze malarstwo się znajduje. Obok tradycyjnej techniki, niewolniczo wiernej wzorom dawnych mistrzów, wnika coraz szerzej i głębiej do niego szkoła „wolnego powietrza" (*plein air*), której trudne początki tak mistrzowsko odmalował Zola w swej ostatniej powieści. Szkoła ta, nie jest doktrynerską jakąś formułą, narzucającą niewzruszone dogmaty swym wyznawcom. Nie, oznacza tylko kierunek, w jakim posuwa się malarstwo dzisiejsze; to też rozpryskuje się ona na wiele odcieni, pozostawiając szeroką swobodę swym uczniom. Nie braknie też śmiałych nader prób kolorytu i gry światła, nie zawsze udatnych, często jednak wysoce oryginalnych i samodzielnych. Jednym np. z wybitnych przedstawicieli pewnego odcienia „impresionizmu" jest malarz francuski Puvis de Chavannes. Krytyka powiada, że obrazy jego są „niepokojące," nie ma bowiem w nich ani rysunku, ani kolorytu; jest natomiast wiele owego wolnego powietrza, wiele wybornej perspektywy i łudzące jakieś wrażenie rzeczywistości; wiele wreszcie ulubionej przez impresionistów barwy fioletowej. Figury malowane są zupełnie płasko i przypominają gobeliny. W tym roku Puvis de Chavannes dał wielkie płótno, zatytułowane *Inspiration chrétienne.* Jest to część tryptyku. Natchnienie to przedstawia nam ascetycznie wychudłego mnicha, malującego na murach kościelnych obrazy, do których jakby brał wzór z prac twórcy tego płótna. Malarstwo pierwszych wieków ery chrześciańskiej i „impresionizm" podały tu sobie ręce. W podobnym rodzaju jest w Salonie parę robót Baudin'a — *La Famille, le Travail* i wiele innych. Z pośród kolorystów wyróżnia się dzieło wielkich rozmiarów Benjamina-Constant *Justinien*, w otoczeniu swych doradców. Inny kolorysta, młody i obiecujący, Rochegrosse, dał w tym roku *La Folie du roi Nabuchodonosor*, rzecz fantastyczną, która mniej się podobała, niż wystawiona przez tegoż malarza w roku zeszłym *Jacquerie*. Portretów jest bardzo wiele, kilka Judyt i Herodiad, a przedewszystkiem nieprzeliczone mnóstwo nagich kobiet w różnych pozach i otoczeniu. Brano najrozmaitsze tematy: mitologiczne, historyczne, geograficzno - etnograficzne, rodzajowe — a zawsze chodziło tylko o odtworzenie w całym blasku nagich wdzięków niewieścich. Historycznych obrazów bardzo niewiele; częściej spotykają się epizody z ostatniej wojny francusko-pruskiej; scen rodzajowych również stosunkowo mało, chociaż kierunek ten ma przyszłość przed sobą. Krajobraz reprezentowany jest licznie i świetnie. Tu właśnie szkoła wolnego powietrza głównie próbuje swych sił.

Z przelotnego już przeglądu tegorocznego Salonu widzimy, że żaden w nim rodzaj malorstwa wybitnie nie przeważa, że technika jest w stanie przejściowym i szuka dróg nowych i że żadne myśli przewodnie artystom nie przyświecają. Uwidocznia się to w wyborze tematów, którym zazwyczaj brak wszelkiej myśli głębszej.

Powołujemy się zresztą na jednego z mistrzów nowoczesnego malarstwa, Wereszczagina. W majowym właśnie zeszycie *Nouvelle Revue* dał on treściwą wiązkę nader cennych poglądów, z których pozwolimy sobie przytoczyć ważniejsze. Brzmią one jak aforyzmy. Artykuł zatytułowany jest: „Du progrès dans l'art."

„My artyści — pisze on — kształcimy się zawsze mało, czytamy dorywczo, bez systemu, uważając gruntowne wykształcenie za rzecz nieużyteczną i niepotrzebną dla rozwinięcia naszego talentu. Twierdzić można, że okoliczność ta jest jedną z głównych, jeżeli nie główną zawadą szerokiego rozwoju wszystkich gałęzi sztuki. Ta również okoliczność nie pozwoliła dotąd artystom porzucić niewdzięcznej roli pochlebców i pasorzytów społeczeństwa, dla podnioślejszej roli przewodników nietylko w dziedzinie estetyki, lecz i w psychologicznym rozwoju ludzkości.

Jeżeli w innych gałęziach umiejętności ludzkich troszczą się zarówno o postęp myśli, jak i o sposoby jak najpełniejszego ich wyrażania — w sztuce, a zwłaszcza w rzeźbie i malarstwie (częściowo również i w muzyce), słyszymy tylko powtarzany wciąż frazes: „Tak właśnie robili wielcy mistrze i tak my robić powinniśmy!„

W pracach wszelkiego zakresu myśl idzie zawsze przodem. Nasze pojęcie o świecie jest dziś o wiele różnem od tego, jakiem było przed kilku wiekami. Technika sama zmieniła się i ulepszyła. W tym stanie rzeczy, jakże mogło nie przyjść do głowy, że i w dziedzinie sztuki, malarstwa naprzykład, trzeba było czegoś nowego, zarówno na względzie myśli, jak i wykonania! Bynajmniej jednak. Zgodzono się za to i zdecydowano, że „nietylko doskonałością wykonania, lecz i podniosłością myśli dawni mistrze stoją na niedostępnej wyżynie i możemy ich tylko naśladować.

Wykształcenie jednostek i całego społeczeństwa przewyższyło dziś zupełnie dawny poziom. Nauka, literatura otworzyły sztuce nowe widnokręgi, zbudziły nowe wymagania — winny były też wywołać nowe wysiłki. Powtarzano tymczasem zawsze: „Dawni mistrze..." etc.

Wereszczagin wyjaśnia, że mistrze ci celowali szczególniej w odtwarzaniu nagiego ciała i portretach, trzymali się jednak przytem ciasnej na dziś formuły. Zawsze ten sam efekt: jasna plama na tle ciemnem lub czarnem, efektownem, lecz

sztucznem, często grubo nieprawdopodobnem. Pochodziło to w części stąd, że pracownie dawnych mistrzów były ciasne i źle oświetlone. Nowa szkoła malarska, znosząc ciemne tło poddasza lub piwnicy i umieszczając ludzi w jasnej atmosferze ulicy lub pól, oddała sztuce wielką przysługę. Dawna metoda upraszczała wprawdzie o wiele technikę malarską, nowa zaś ją utrudnia, nie należy jednak zrażać się trudnościami, które są do przezwyciężenia.

Autor mówi następnie o wyborze tematów. „Na historyę—powiada—zapatrywali się dotąd zwykle malarze, jako na zbiór mniej lub więcej dowcipnych anegdot lub ilustrowali tylko fakty znane. Mimo to uwolniliśmy się już nieco od bezkrytycznych legend i pochlebstw dawnych mistrzów. Jeżeli malarze spółcześni głębiej wnikną w fakty dziejowe, przekonają się snadnie, że sztuczna dekoracyjność nie wystarcza.“

Zwrócą wtedy ku sobie uwagę publiczną prędzej niż dziś, zapomocą anegdot lub fałszywych kostiumów i typów odświętnych. Dotąd zazwyczaj obrazy historyczne wywoływały uśmiech na usta ludzi wykształconych. Autor ma nadzieję, że się to zmieni. Świąteczna parada tych obrazów ustąpi przed wiernem odtwarzaniem życia, na czem wygra i prawda, i prostota.

Krytyk zaznacza następnie postępy, jakie ostatnimi czasy zrobiły krajobrazy. Można powiedzieć bez przesady, że pejzaże dawniejsze są wobec dzisiejszych niedołężnemi ćwiczeniami szkolarskiemi.

W dziale tak zwanym religijnym, według niego, tradycya jest nader silną. Wynika to już z samej natury przedmiotu, krytyk jednak, który swymi historyczno-religijnymi obrazami wskazał drogę bardziej nowoczesnego traktowania tych tematów, wyszczególnia, co razi nas najbardziej w utworach tego rodzaju. Są to naprzód owe obłoki, na których święci siedzą jak na krzesłach, wystawianie Boga na wzór starożytnego króla, odzianego wspaniale i siedzącego na tronie itd. Równie fałszywie są wyobrażani apostołowie, którzy byli przecież nie żadnymi patrycyuszami rzymskimi, lecz biednymi rybakami, pasterzami itp. Autor twierdzi, że już dawni mistrze, jak Rubens i Rembrandt, czuli fałsz takiego przedstawiania rzeczy i starali się malować ludzi zwykłych w otoczeniu mistrza z Nazaretu.

Co się tyczy kolorytu, to wielu malarzy współczesnych zyskało sławę, naśladując jedynie Rubensa, Van Dycka, Rembrandta lub Velasqueza, aż do owej „patyny,“ pokrywającej wskutek starości ich obrazy. I w tym względzie nowa szkoła naturalistyczna odświeżyć powinna sztukę przez wierne odtwarzanie natury i jej barw niezrównanych.

„Szkoła ta — mówi pod koniec Wereszczagin — musi wziąć sobie za stałą zasadę, że każdy przedstawiony fakt powinien być w zgodzie z otoczeniem, czasem i oświetleniem, przyczem należy się posługiwać naukowemi wskazówkami co do oznaczenia typu, ubioru, zwyczajów i innych szczegółów etnograficznych. Scena, która się odbywa na pełnem powietrzu, nie może być malowaną w czterech ścianach, lecz we właściwem oświetleniu poranku, południa, wieczora lub nocy. Język malarstwa stanie się wtedy wymowniejszym.

To samo, z pewnemi zmianami — dodaje autor — da się powiedzieć o rzeźbie i muzyce. Dziś, więcej niż kiedykolwiek, wyrabia się bliskie braterstwo między różnemi gałęziami jednego wielkiego drzewa sztuki.“

Patrząc z powyższego punktu widzenia na tegoroczny Salon paryski, widzimy, jak wiele mu jeszcze brak, ażeby się do tego ideału przybliżył. *P.*

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

Mało w którem mieście pod słońcem przebywa tylu ludzi, pozbawionych wszelkiego stałego zajęcia, jak u nas. Zaopatrzeni w środki do życia, nudzą się mocno i z nudów wyszukują sobie prace bezowocne dla ogółu, dla nich zaś — zabawne. Głównie polityka i sprawy publiczne nadają się do ich celu. Jeśli to jest człowiek małego wykształcenia, jakiś rzemieślnik, który na starość uciuławszy grosza i pożeniwszy dzieci, zamknął warsztat, wówczas widownią jego obywatelskiej działalności staje się handelek miodu, a przedmiotem zajęcia jakiś domniemany spadkobierca praw rodziny Bonapartych. Polityk jedna przychylnych dla Napoleona i śpiewa o nim znaczące pieśni, jak np. następna: „Cysorzu Napolionie — W którejkolwiek świata stronie — W którejkolwiek świata stronie — Cysorzu Napolionie!“ Z czasem nabije sobie głowę wielkością zadania i jemu tylko oddany, ma nieszkodliwą zabawkę do końca życia. Inaczej jest, skoro domorosły mąż stanu ma stosunki i uniwersyteckie studya. Taki musi już swe myśli głosić drukiem — musi pisać broszury. Od czasu do czasu pojawiają się u nas podobne dziwadła — to hrabia ten lub ów namawia świat cały do przyjęcia religii Mojżesza; to profesor pewien głosi zasady życia społecznego, według nieomylnej, przezeń osnutej zasady; to znów właściciel ziemski, osiadły na bruku, morduje piórem demokratów. Maniaka poznać o milę — kieszenie wypchane ma drukami i zapiskami, mówi głośno i rozwlekle, zapala się, a czasem szyderczo rusza ramionami. Dla drukarza stanowi on rozkosz prawdziwą. Prace tłoczy na papierze welinowym, w czerwonych ramkach, mieszanemi czcionkami — sam robi korekty, płaci za wszystko gotówką, bez rachunku, ma tysiączne sprawy i wątpliwości. które go pędzą do drukarni po parę razy na dzień. Wreszcie arcydzieło myśli pojawia się. Autor pisze dedykacyę zielonym atramentem, zasypuje złotym piaskiem i całemu światu rozsyła. Jeśli ma doświadczenie, nie powierza nakładu pułkom księgarskim, by żyć miłem złudzeniem, że tylko nieobecność „dzieła“ w handlu udaremnia szalony pokup. Skwapliwie chwyta dzienniki, szukając oceny utworu, oczekuje niecierpliwie listów z pochwałami od znakomitości krajowych, rośnie w oczach własnych do rozmiarów proroka. Uwierzy znajomemu, który go spotka i powie: „Wiesz pan, Bismark zgłupiał, przeczytawszy pańskie dzieło. Chodzi taki zamyślony, że przyboczny lekarz Schweininger boi się o jego zdrowie.“ Z zapałem uwierzyłby nawet wiadomości, że w Portugalii ma się, dzięki jego utworowi, zawiązać rzeczpospolita... Powodzenie zachęca go, pędzi dalej i robi się nieuleczalnie nałogowym. Wszyscy się z niego śmieją, on tego nie widzi, upojony miłością własną, jak tancerz, który pląsa rozkosznie, wśród powszechnego zajęcia — nie wiedząc o tem, że nie ruchy wdzięczne, lecz frak rozpruty drastycznie ściąga na niego ogólną uwagę. Niechno ktoś zadrwi z niego zbyt widocznie — będzie miał wroga na całe życie. Wróg ten wysili cały swój dowcip, by się pomścić. A co to za dowcip — jak wóz kamieni.

* *
*

Wymownie ilustruje krakowskie stosunki autor wspaniale pod względem typograficznym wydanej broszury p. t.: „Uwagi o modelach na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług pomysłu Matejki, oraz odpowiedź pp. recenzentom na ich zarzuty.“ Jest nim dr (med.) Hubert hr. z Krasnego Krasiński, członek komitetu pomnika dla Mickiewicza, obywatel miasta Krakowa (ul. Wolska, nr 12 dom własny). Szczegóły te przytoczone dosłownie z broszury. Resztę biografii uzupełni wiadomość, że w chwili, kiedy wszyscy poważniejsi członkowie komitetu pomnikowego a zwolennicy projektu Matejki dyplomatycznie umilkli, by wyjść z niezgody między mistrzem a głosem powszechnym — jeden hr. Krasiński podjął upadłą sprawę i uratować ją postanowił. W wywalczeniu nagrody projektom Matejki założył cel swego obywatelskiego życia. Choć inni zwrócili siły całe przeciw klęskom gniotącym jak mara, choć inni ratują pruskich wygnańców i z niepokojem śledzą rozwój smutnych przeczuć ekonomicznego przesilenia — hr. Hubert Krasiński tylko w sprawie pomnika widzi „swój obowiązek obywatelski, który jest dźwignią wszelkich spraw społecznych.“ Z temi danemi zrozumieć go już łatwo. Jest to zamożny obywatel, który ma swój cel urojony — jest nieodrodnym braciszkiem owego wąsala, który w miodosytni werbuje Napoleonidom stronników. Hr. Krasiński działa z wiedzą Matejki — i nie ma się czemu dziwić. Mistrz, opuszczony przez wszystkich, mocno boleje nad upadkiem gmachu swych nadziej, zbudowanego tak wyniośle przez tych, co zostawili go teraz własnemu losowi. Hr. Krasiński łatwo drogę doń znalazł i zaopatrzony został listem do prezydenta miasta. List ten jest niemal pełnomocnictwem, wydanem paladynowi przegranej sprawy. Tem się tłomaczy rozgłos broszury. *Imprimatur* Matejki nadaje jej wagę smutnego dokumentu. Autor, przesiadując przy pomnikach po godzin kilka codziennie, przedsiębierze opisać wrażenia i myśli, które powziął po długich rozwagach. Tą drogą pracowitą doszedł do pojęcia pomysłu: „Z powierzchni wody wychodzi granitowa opoka, a na niej leży palma z wieńcem i napisem „od narodu.“ — Tą drogą obliczył, że na szkicu Rygiera jest stopni trzy, a u Gadomskiego cztery, że na kamieniu siedzi, jak na legendowym tronie, król poetów; że „u jednego artysty wieszcz znękany, u drugiego zaraz wstanie i będzie improwizować.“ Potem rozpatruje szczegóły, a każdy motywuje przytoczeniem ustępu z Mickiewicza, tworząc w olbrzymich dopiskach całą antologię. Pomysł jedyny, bo jakże coś może być niewłaściwem w pomniku, jeżeli jest o tem wzmianka w poezyach Mickiewicza? Ten ma rękę złożoną *na piersiach*. Czyż może być inaczej, gdy poeta wyraźnie napisał: „*W piersi tylko* uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie.“ Postać kobiety jest symbolem znicza narodowego, „ponieważ zda się odgadywać, co myśli i czuje poeta, który żył, cierpiał, pracował i umarł w cierpieniu.“ Orzeł Matejkowski jest *orłem* nad orły, gdyż poeta napisał: „Tyś mnie wysłuchał! Ty skrzydły *orlemi, monarcho ptaków*, wzniosłeś mnie do siebie.“ Na dowiedzenie, że nagi młodzieniec jest geniuszem, przywodzi autor słownik synonimów polskich biskupa Krasińskiego, że „właściwie tylko Homer, Kopernik, Szekspir, Napoleon I (o! zaraz o Napoleonie!) i Mickiewicz geniuszami być mogą.“ (O młodzieńcu ani słowa tu nie ma). W końcu jest opis rzek: „Wisła ruchem swym wyraża bieg z Karpat ku morzu“ — Dniepr „ma typ rusiński, silnie zaakcentowany—to dobre! — powinniśmy mieć zawsze w sercu i myśli rusina — i przypominać sobie, że się z nim rachować należy.“ Wisła rozmawia z Niemnem „przypomina to mimowoli Unię lubelską i późniejsze fakty historyczne.“ Czytelnik czeka ciekawy, co się też jeszcze przypomni hr. Krasińskiemu—projekty są dlań istną mnemoniczną.

Po opisie wrażeń osobistych, przystępuje hr. K. do rozprawienia się z krytyką. Że Mickiewicz okryty *draperyą*, że ma z jednej strony *cokolwiek* obnażone piersi

i stopy — oto powód, by autor dowodził, że im więcej naga rzeźba, tem piękniejsza. Tylko, że to niedźwiedzia przysługa dla całej postaci projektu, z wyjątkiem tej cośkolwiek obnażonej piersi i stopy. Na ten temat piorunuje przeciw halsztukom, kołnierzykom, krynolinom i strojom damskim, dochodząc wreszcie do przekonania, że „wszelkie odzieże, suknie i stroje są karą za grzechy prarodziców, piętnem zbrodni, przekleństwem.“ Zresztą poeta sam oświadczył się za negliżem rajskim w przytoczonych słowach: „Ciało jest małym światem, dusza książką małą, w której spisano wszystko, co się w świecie stało.“ A dlaczego Mickiewicz ma twarz smutną i natchnioną? — „Wytłomaczy to sam:“ „Krzyż wbity na Golgocie tego nie wybawi, Kto na swem sercu krzyża nie wystawi...“ albo „Polały się łzy me czyste, rzęsiste.“ Właściwie więc płakać powinien. Dalej idzie pytanie: „Dlaczego Mickiewicz ma włosy nieuczesane?“ Odpowiedź: „Ze potrzebne — rzekł mędrzec — musisz teraz wierzyć. Na co potrzebne, zgadniesz, gdy zacznie świat mierzyć.“ Dalej znów pytanie, „Dlaczego na pomniku figurują trzy rzeki, a nie co innego?“ Odpowiedź: „Przecież te rzeki krwią spływały, brzegi ich zasiane są kośćmi poległych, po rzekach tych pływali przez tyle wieków obrońcy ojczyzny.“ Teorya doskonała, bo ją można zastosować do gór, równin, lasów i moczarów. Koroną tej części uwag jest myśl o froncie. „Front z konieczności musi być bogatszy od boków — najwymowniej przekonywa o tym fakcie konstrukcya głowy ludzkiej. Obserwując *naprzykład* głowę wprost, widzimy dwoje oczu, dwoje uszu itp., a tymczasem z profilu jedno tylko ucho i pół oka.“ To *naprzykład* jest klasyczne, a całe spostrzeżenie zaszczyt przynosi lekarskiej bystrości autora.

Dużo, dużo jeszcze pisze czcigodny członek komitetu; gdzie mu brakuje do zwalczenia zarzutów, wypowiedzianych istotnie, piętrzy sam wątpliwości i zwycięstwo nad niemi mniej więcej zawsze odnosi — a gdzie nie poradzi rozumem, tam straszy: „Zacięci wrogowie, którzy od wschodu i z sąsiedniego zachodu na nas czyhają, cieszą się, że my sami dręczymy swoich wielkich ludzi; cieszyć się zaś także będą, jeśli projekt mistrza nie utrzyma się, a sprawa pomnika upadnie.“ O, bo pan z Krasnego wie wszystko, co myślą wrogowie, czego pragnął Mickiewicz, o co idzie Matejce. Długie godziny sam na sam, spędzone z gipsowym wieszczem w Langierówce, spoufaliły go z nim do pozazdroszczenia. Co chwila czytelnik spodziewa się skromnego wyznania ze strony autora, że w czasie tych odwiedzin pewnego razu Mickiewicz skinął doń przyjaźnie i rzekł: „Rozbierz się, kochany hrabio, z wierzchniej odzieży, tego piętna zbrodni i siadaj tu przy mnie na kamieniu — miejsca dość na dwóch“ — ale nigdzie o tem nie ma wzmianki.

Po odparciu ogólnych zarzutów, przechodzi autor do dania odprawy ludziom. O ile „światopoglądy“ na temat ogólny były niewinne i zabawne, o tyle w tej części cudowne dziecko zmienia się w złośliwe. Sędziwego Nestora piśmiennictwa naszego poucza, „że łatwo jest (takiemu Kraszewskiemu) krytykować, lekceważyć i zburzyć pracę wykonaną, ale tworzyć, poprawić i budować trudno.“ Poważnego znawcę dziejów sztuki polskiej, prof. Łuszczkiewicza, za napisanie otwartego i nader przedmiotowego sądu o projektach, obsypuje pełnemi garściami wyrzutów i drukuje jego nazwisko małemi czcionkami w wykazie członków komitetowych, wybitym w całości kamiennym drukiem. Kraszewskiemu wyrzuca, że *niewidzianie* sądzi projekty, a mimo to, o parę wierszy dalej, na pochwałę Matejki, przytacza wiersz Bohdana Zaleskiego, ociemniałego pieśniarza Ukrainy. Już to mu się wogóle część polemiczna udała.

Taki to pan — taką książeczkę przez usłużność dla Matejki, dla pożytku Mickiewicza i własnej chwały napisał. Wspomina coś Odyniec w listach o hrabim Kiszce Zgierskim, ale Mickiewicz pomocy u niego nie szukałby nigdy. Czasy zmieniły się i dr (med.) Hubert hr. z Krasnego Krasiński śmiało narodowi zaręcza, że do smaku Mickiewicza tylko taki by przypadł pomnik a nie inny. Biedny mistrz Jan, który spoglądać musi na tę opłakaną reklamę, gdy nie ma sił rzucić sprawy, w którą wciągnięto go obłudnemi obietnicami; biedna chwała jego. Mistrzowstwo każde ma swe skarby, które podnosić i głosić może bez ujmy dla nich tylko znawca poważny— obwoływane po rynkach spadają w oczach ludzkich do rzędu błyskotek i dużo nieraz prób ogniowych przejść muszą, nim odzyskają wartość i cechę szlachetnego kruszcu. Dziś już bractwu z Konopi wydaje się, że znalazło ścieszkę na wyżyny tajemnic Matejkowskiej twórczości. Co raz więcej drabin przystawi ono do tej opoki i nie jeden pokusi się tępym ćwiekiem, z własnej głowy dobytym, orać twarde jej ściany pod zasiew chwastów własnej próżności.

P. W.

BADANIA NAUKOWE.

METODA PASTEURA
LECZENIA WŚCIEKLIZNY.

Paryż, 10 maja.

Ogół niefrancuski mniema, że Pasteur metodę szczepień leczniczych wścieklizny osłonił tajemnicą. Czytając w różnych niemieckich i rosyjskich pismach lekarskich uporczywie powtarzane wieści, chociaż po przybyciu na miejsce wprędce dostrzegłem nieprawdziwość tego zarzutu, czekałem na obalenie go, aż poznam rzecz w najdrobniejszych szczegółach. I nietylko pisma plotkowały. Prof. Koch, którego odwiedziłem w Berlinie, mówił mi to samo, a powoływał się na prof. Frischa, który, wysłany przez rząd austryacki, świeżo powróciwszy z pracowni Pasteura, takie właśnie wieści przywiózł. Obecnie zaprzecza on temu w *Semaine médicale*.

Teraz, kiedy metoda Pasteura zupełnie dokładnie jest mi znaną, mogę poznajomić z nią szczegółowo czytelników *Prawdy*.

Pracownia jego mieści się w ciasnym zakątku „Ecole Normale,“ przy ulicy Ulm. W Paryżu istnieją szkoły początkowe, licea i zakłady wyższe naukowe, odpowiadające naszemu uniwersytetowi. Otóż „Ecole normale“ ma za zadanie kształcić nauczycieli liceów. Pasteur, wychowaniec szkoły normalnej, został później jej poddyrektorem, teraz zaś po przebyciu połowicznego paraliżu jest emerytem i posiada tu, nie pełniąc żadnych obowiązków urzędowych, kąt i pracownię własną. Łatwo zrozumieć teraz, dlaczego ona nie jest obszerną i dlaczego tak mu chodzi o zbudowanie instytutu oddzielnego.

Ludzie patentowani na wielkie odkrycia, jakkolwiek położyli może wiele zasług na polu naukowem, nie zdołali zrobić tego, czego dokonała chętna i zdolna jednostka. Nieobznajmionego ze szczegółami zadziwi ciasnota trzech pokojów, w których mieści się cały warsztat naukowy, skąd wyszły pierwsze podstawy bakteryologii, gdzie wynalezione zostały metody ochronnych szczepień karbunkułu, cholery kur i inne niemniejszej doniosłości, aczkolwiek mniejszego rozgłosu prace.

Towarzyszami tych odkryć są po większej części młodzi, gorliwi badacze, wychowańcy Szkoły normalnej lub uczniowie medycyny. Niektórzy pracują z dziwnem poświęceniem: jeden z nich, Viala, jest prawą ręką Pasteura od 10 lat, a ma dopiero 25; od 3 lat codziennem jego zajęciem jest szczepienie wścieklizny i przygotowanie płynów ochronnych. Można wyobrazić sobie, z jaką to robi wprawą.

W gmachu Szkoły normalnej Pasteur mógł zmieścić część tylko swoich zasobów, mianowicie prace, dotyczące ochronnych szczepień wścieklizny i ważniejsze przyrządy ogólne. Tutaj też odbywają się codziennie szczepienia. Inne rzeczy znajdują się przy ulicy Vauquelin. Tam trzymane są zwierzęta większe, na których robione są lub były doświadczenia z wścieklizną, karbunkułem i cholerą kur. Tutaj także buduje się teraz pawilon do szczepień ochronnych wścieklizny.

Z powodu tej ciasnoty, trudno, a raczej nie podobna zupełnie pracować u samego Pasteura. To też większa część wysłańców, mianowicie z Moskwy i Petersburga, zupełnie nie znalazła tutaj gruntu, a badania ich ograniczają się na przypatrywaniu się inokulacyom u ludzi i trepanacyi u zwierząt. Ażeby zrobić coś samodzielnego, trzeba się umieścić przy innej jakiej pracowni i mieć przytem pewne przygotowanie do tego rodzaju badań, gdyż wskazówek praktycznych nie ma skąd czerpać.

To też po pierwszym zaraz tygodniu osiadłem stale w pracowni dra Granchera, który mi ją gościnnie otworzył; będąc zaś pierwszym pomocnikiem Pasteura, dopomógł w otrzymaniu potrzebnego materyału do szczepień i hodowli.

Ze wszystkich też dotąd wysłanych lekarzy z poważnym celem „badania metody Pasteura na miejscu,“ tylko dr Hamalej z Odesy pozostaje tu na czas dłuższy. Nie wliczam sporej ilości innych, którzy chcieli tylko obejrzeć metodę; ci łatwo zamiar swój spełnili, gdyż patrzeć wolno tutaj prawie każdemu (teraz z powodu wielkiego napływu, nieco trudniej).

Przystąpię do opisu sposobów, w jaki wykonywane bywają szczepienia lecznico-ochronne wścieklizny i jak otrzymuje się materyał, do tego służący, oraz zasady działania.

Jad wścieklizny u zwierząt i ludzi chorych na nią, znajduje główne umiejscowienie w układzie nerwowym: w mózgu, mleczu, a przedewszystkiem w rdzeniu przedłużonym. Znajduje się on również i w gruczołach (np. ślinowych). Zarażenie następuje wskutek dostania się go do krwi ukąszonego, skąd powoli przechodzi do układu nerwowego; czem bliżej ośrodków nerwowych nastąpi ukąszenie, tem zarażenie pewniejsze i silniejsze, oraz okres czasu do pojawienia się pierwszego wybuchu choroby — krótszy. Ukąszenie w twarz lub głowę jest przeto najniebezpieczniejsze.

Czas potrzebny do pojawienia się choroby, jak w każdej zakaźnej, jest mniej lub więcej długim, zwykle jednak wynosi u człowieka 30—40 dni, rzadko krócej lub dłużej.

Jeżeli teraz cząstkę materyi nerwowej (mózgu lub mlecza kręgowego), wziętej ze zwierzęcia zmarłego na wściekliznę, zaszczepimy pod twardą oponę czaszki zdrowego — otrzymamy po pewnym czasie objawy wścieklizny. Czas ten jest u zwierząt krótszym, niż u człowieka: u królika np. wynosi 13—18 dni; średnio zaś — 15. Jeżeli z królika, padłego na wściekliznę szczepioną, zaszczepimy ją zdrowemu, z tego następnemu itd. do 25—30 kolejno, zauważymy, że okres czasu od zaszczepienia do wystąpienia pierwszych objawów choroby jest krótszym i trwa 12, 11, 10 dni. Od pierwszych prac Pasteura (w ciągu 3 lat) wykonano 113 takich kolejnych przeszczepień; przy 90-tem okres czasu do wystąpienia pierwszych objawów (znany pod nazwą okresu wylęgania — jak w innych chorobach zakaźnych) wynosił średnio 7

dni; teraz zaś występuje wyraźnie skłonność skrócenia się do dni 6.

Jeżeli tedy zwykła wścieklizna, jakiej dostają psy, daje u królika okres wylęgania 15-dniowy, szczepiona zaś —7-dniowy, mamy prawo przypuszczać, że ta druga jest wzmocnioną. Zaszczepiona psom daje ona również okres wylęgania krótszy.

Jeżeli wyjmiemy rdzeń kręgowy królika, padłego z takiej wzmocnionej wścieklizny, i zawiesimy go w szklanej butli, na dnie której znajdują się kawałki sody gryzącej — to już po 10 dniach takiego wysychania rdzeń zaszczepiony nie wywołuje wścieklizny u zdrowego zwierzęcia—chroni je jednak od tej choroby, jeżeli mu zaszczepimy jad silny, z niewysuszonego rdzenia pochodzący, lub przez ukąszenie wprowadzony. Gdy zaś zwierzę zostanie ukąszone, to przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby zastrzyknięcie takie nie dopuszcza ich; trzeba tylko, aby stopień wścieklizny szczepionej był równym lub wyższym nawet od pochodzącej z ukąszenia. W tym celu szczepienia pochodzą z rdzeniów, których ilość dni zawieszenia w butli szklanej coraz się zmniejsza w miarę postępowania szczepień: pierwsze pochodzi z rdzenia, który sechł przez 13 dni; drugie z rdzenia, który wisiał 12 itd. aż do 5-go dnia. Tylko w razie bardzo mocnych pokąsań (przez wilka np.) dochodził Pasteur do rdzenia, który tylko przez dwa dni pozostawał zawieszony.

Sposób wykonywania szczepień nie przedstawia nic trudnego; wymaga tylko czystości w znaczeniu bakteryologicznem i pewnej wprawy. Cząstka mlecza królika rozciera się w czystym bulionie, wolnym od bakteryj, czyli sterylizowanym. Taka sterylizacya, inaczej ubezpłodnienie, polega na ogrzewaniu do ciepłoty wrzenia bulionu mięsnego w naczyńku szklanem, zatkanem kłębkiem waty, która chroni bulion od spadających z powietrza bakteryj, mogących powodować jego rozkład. Tym sposobem bulion sam przez się nie może być szkodliwym. Królik zachloroformowany dostaje nieco bulionu, zaprawionego takim mleczem, przez otwór w czaszce po nad powierzchnią mózgu (trepanacya). Cała operacya, niemęcząca zwierzęcia, trwa około 5 minut.

Po zaszczepieniu królik w ciągu 12—13 dni umiera. Mlecz kręgowy jego służy do nowych szczepień, a prócz tego do zawieszenia w szklanych butlach i przygotowywania płynów ochronnych.

Płyn taki jest również bulionem, w którym została roztartą cząstka rdzenia, wysuszonego uprzednio przez stosowną ilość dni: do pierwszych wstrzykiwań przez 14, do drugich przez 13 i t. d. do dziesiątych przez 4.

Ponieważ zawieszanie mleczów i rozcieranie w bulionie odbywa się w osobnym pokoju, do którego wchodzi tylko pomocnik, mający z tem do czynienia — okoliczność ta dała gazetom i mniej wtajemniczonym osobom powód do mniemania, że cała robota jest tajemniczą. Wszystko to zaś jest niezbędnem: 1) ażeby uniknąć zanieczyszczania mleczów przez bakterye, znajdujące się w powietrzu, co łatwo nastąpićby mogło przy większym ruchu osób i powstającym stąd drobnym kurzu; 2) operacya ta jest zbyt ważną i pomyłka byłaby bardzo niebezpieczną — a łatwą do popełnienia przy pewnym natłoku.

Szczepienia podskórne płynów ochronnych, zapomocą małej strzykawki, odbywają się codziennie o 11 godzinie rano, a jeżeli potrzeba — to i w ciągu dnia. Zaczynają się od najsłabszych, tj. czternastodniowych. Jeden z pomocników p. E. Viala napełnia strzykawkę, a dr Grancher zastrzykuje. Operacya mało bolesna i rzadko tylko wywołuje lekkie zaczerwienienie w miejscu zakłucia.

W razie ukąszenia, szczepienie — zdaniem Pasteura — przyniesie korzyść przed upływem 30 dni, czyli przed wystąpieniem pierwszych objawów chorobnych. Te zaczynają się dreszczami, napadami kurczu gardzieli i krtani, skąd powstaje trudność oddychania i połykania, potem zaciskanie konwulsyjne szczęk, wreszcie kurcz mięśni klatki piersiowej, skutkiem czego niemożność oddychania i śmierć z zaduszenia zwykle w nieprzytomności zupełnej.

Dotychczasowe wyniki szczepień leczniczych należałoby nazwać bardzo pomyślnymi. Statystyka (*Revue scientifique* nr 16 1886) wykazuje znaczny procent śmiertelności pomiędzy ukąszonym i przez psa wściekłego (około 15%); zaś pomiędzy ukąszonymi przez wilka procent ten dochodzi do 82 i więcej. Dotąd z pokąsanych przez psa było w kuracyi (do 12 kwietnia r. b.) 688 — zmarła 1; pokąsanych przez wilka 38 osób — zmarły 4. Do końca zaś kwietnia ilość osób leczonych podniosła się jeszcze około 150; z poprzednich wszakże zmarła jedna pokąsana przez psa i jedna przez wilka.

Jad psa i wilka uważa Paster za też same, zaszczepione królikowi wywołują objawy po 15 dniach.

W każdym więc razie leczenie zdaje się mieć duży wpływ nawet przy bardzo ogłędnem przyjmowaniu faktów. Naturalnie dowody, z wątpliwej dotąd wartości statystyki czerpane, będą służyły za miecz obosieczny. Przytoczę jednak dane ze statystyki niemieckiej, która przecie uprzejmością dla francuzów powodować się nie będzie. Dr Esser i Schütz (*Fortschr. D. Medicin*, 1885, str. 302) podają w r. 1885 97 pokąsań (przez psy) w samych Prusach z 5 wypadkami śmierci. Znaczy to, przyjmując okrągłe cyfry, 5%, podczas gdy u Pasteura mamy zaledwie $^1/_3$%. Ilość tedy śmierci przy leczeniu jest 15 razy mniejszą.

Przy ukąszeniach przez wilka, statystyka wykazuje 80% śmierci; przy Pasteurowskiej metodzie — 11%; zwróćmy jednak uwagę i na to, że większość chorych przybyła późno; prawie przez samym wystąpieniem pierwszych objawów, lub nawet z nimi.

Dr O. Bujwid.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowe odkrycia *Kuryera lwowskiego*. — Unia nieczystych banków. — My w służbie polityki pruskiej. — Objaw naturalny. — Potrzeba sprowadzenia obwinień do właściwego łożyska. — Bezsilna prawda i przekonywująca bajka.— Wody niemieckie.— Ofiary ognia.— Dobrodziejstwo grobu.

Kuryer lwowski, który już niejednokrotnie uchylał zasłonę, okrywającą tajemnice finansowo-politycznych niecnot w Galicyi, podniósł ją świeżo dla ukazania nowego obrazu zepsucia. Jak wiadomo — istnieje w Wiedniu „Länderbank," który kilkoma operacyami (Bontoux, kolej transwersalna i inne) odkreślił wyraźną granicę między sumieniem a kiesą, w Galicyi zaś rozsławił się szczególnie t. zw. „stuligębnem," ofiarowanem niektórym organom prasy, nadewszystko zaś, posiadając w swym zarządzie siły polskie, dostarczył dziennikom wrogim powodu do znieważania uczciwości polskiej wogóle. Otóż *Kuryer lwowski* donosi, że bank ów ma się zjednoczyć z podobnym mu wiedeńskim (Bank-Verein), oba zaś przejdą do służby berlińskiego *Deutsche Bank*, który „jest prawą ręką Bismarka i obecnego rządu pruskiego." „Pierwsza akcya zjednoczonych banków ma się rozpocząć w Poznańskiem, gdyż właśnie „Deutsche-Bank" ma objąć od rządu pruskiego znany „Expropriations-geschäft." Tym faktem tłomaczy sobie *Kuryer*, „dlaczego organy stańczykowsko-länderbankowskie w Galicyi tak się zżymały w jesieni na niezawisłe dziennikarstwo krajowe za „sztuczny a szkodliwy hałas," powstały wskutek wydalań z Prus i dlaczego organ Länderbanku i stańczyków we Lwowie radził dać tylko jałmużnę wygnanej, „hołocie polskiej," a zresztą siedzieć cicho; dalej dlaczego „poważny" krakowski *Czas* tak bardzo się gniewał na pp. Hausnera i Czerkawskiego za poruszenie sprawy wydalań w tegorocznych delegacyach wspólnych."

Dyabeł ten, wymalowany na ścianie *Kuryera*, wydaje mi się zbyt czarnym i skarykaturowanym, ponieważ jednak trzeba go przyjąć w tej postaci, dopóki nie ukaże się w innej, zapytam tylko: co on polakom szkodzi? Bo przypuściwszy nawet, że całe to odkrycie jest prawdziwem, czy mamy rozumny powód smucić się, że instytucya, moralnie zgniła i ciągle wiązana z imieniem polskiem, utonie w kieszeniach niemieckich?

> Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnię,
> Gdzie się chylił za życia, tam po śmierci wpadnie.

Więc cóż dziwnego? „Będziemy mieli tę przyjemność — powiada *Kuryer* — że w kołach (?) polskich, na bardzo tajnych posiedzeniach, wezmą udział urzędnicy banku, zasilanego z Berlina talarami pruskimi." Jeśli tu mowa o kołach parlamentarnych, to doprawdy trzeba mieć bardzo złośliwą wyobraźnię, ażeby postawić taką wróżbę. „Koło polskie" wiedeńskie pozbyło się żywiołów „länderbankowskich," berlińskie nigdy ich nie miało, gdzież podstawa do posądzeń krzywdzących? Możemy, co najwyżej, przypuścić, że dotychczasowi polscy urzędnicy Banku przyjmą nową służbę. Ale i w takim razie żałoby przywdziewać, ani nawet płakać głośno nie warto. Tego rodzaju żale płyną z przestarzałego złudzenia, że co nasze, to zacne i czyste. Jesteśmy tylko ludźmi i w naszem więc gronie istnieć mogą jednostki liche, przewrotne, zapsute. Czy takich jednostek nie ma naród moralnie najzdrowszy? Skąd szczególna pretensya, ażeby żadna matka-polka nie urodziła zbrodniarza i odstępcy? Czy kryminały nasze są puste, czarna księga życia — niezapisaną? Cóż zatem dziwnego, że śród charakterów naszych znajdzie się materyał potrzebny dla „Länderbanku" i jego zapowiedzianej roli? Z odosobnionych, jednostkowych przewinień wyciągać wnioski o całem społeczeństwie — to godne logiki naszych oszczerców, ale nie naszego patryotyzmu. Niech oni zacierają ręce, my nie powinniśmy ich załamywać. Śmiecie z izby wymieść należy, a nie siadać na lada ich kupce z miną Maryuszów — troskliwość niepotrzebna.

Z drugiej wszakże strony doniesienie *Kuryera lwowskiego* powinno być sprowadzonem do właściwych granic przez tych, których pośrednio pod pręgierzem stawia. Że ono nie jest prostym wymysłem, potwierdzają częściowo pisma niemieckie, zaznaczające związek owych banków. Pytanie tylko, czy zarzut sprzyjania dekretom pruskim, odniesiony do gazet polskich, związanych z „Länderbankiem," jest uzasadniony. Nie chcemy mu wierzyć, bo zbyt szeroko zatacza on koło zepsucia i piętnuje ludzi w sprawie, która nie powinna być przedmiotem handlu. Uciszanie gwaru o wygnaną „hołotę polską" z ukrytą myślą, że za tę usługę otworzy się zyskowne źródło niecnego stosunku — byłoby rachubą zbyt nikczemną i zdradziecką. Organy prawomyślne mogły to czynić z nadmiernej lojalności, a *Kuryer* upatruje w tem judaszowy interes. Strzały jego prawdopodobnie sięgają za daleko. Ponieważ zaś żadna partya nie urasta przez niesłuszne zohydzenie przeciwnej, więc nad-

miar potępienia nawet dla demokratyzmu lwowskiego powinien być zbytecznym.

Kilka pism warszawskich ostrzega publiczność, ażeby nie udawała się do wód niemieckich, gdyż może być narażoną na wygnanie. Cała ta krucyata, podjęta w chwalebnym celu, robi smutne wrażenie obraną ku niemu drogą. Bo jakże ta nasza publiczność musi być nieczułą na obowiązek, kiedy ją aż trzeba do niego napędzać strachami. Mówiono i pisano wiele o konieczności unikania stosunków z niemcami i odwetu za krzywdę — wszystko to nie skutkowało. I gdyby wprost powiedziano, że należy omijać wody niemieckie, widocznie niktby nie usłuchał. Dopiero gdy przerażono lękliwych groźbą wypędzenia i jego kłopotów — różne „bady" zadrżały. Okropnie, okropnie jesteśmy niedojrzali; ażeby wpłynąć na naszą wolę, musi piastunka opowiedzieć nam straszną bajkę — rozum, uczucia obywatelskie same są bezsilne. Moi czytelnicy i ja wam radzę, unikajcie wód niemieckich, ale nie róbcie tego z obawy, tylko z świadomie odczutego i pojętego obowiązku. To będzie moc charakteru i to jedynie wzbudzi dla nas szacunek i zamknie usta gazetom niemieckim, łatwo dziś obalającym wieści o niebezpieczeństwie i szykanującym naszą improwizacyę. Powiedzmy właśnie prześladowcom, otwierającym gościnnie swe ramiona dla uściśnienia naszej kieszeni: choćbyście nas otoczyli wszystkiemi skrzydłami swej opieki, odwrócimy się od was dziś, za rok i długo — to ich nauczy, że mamy rozum i pamiętamy krzywdę. Ale może ja wymagam za wiele? W takim razie wystawiajmy strachy...

Ogień jest u nas kwiatem wiosny. W tej porze roku z dziwną stałością wystrzelają gęsto jego płomienie na różnych punktach kraju. A nie podobna się dziwić nieszczęsnemu pochodowi tego żywiołu tam, gdzie on nie spotyka przeszkód i hamulców, jeśli w Warszawie wobec kilku oddziałów straży spełniła się w zeszłym tygodniu tak tragiczna ofiara. W jednym domu przy ulicy Freta pożar zgubił kilkoro ludzi: jedni spłonęli, inni wyskakując z okien, pozabijali się. Uratowani przeszli sercem całą tragedyę. Zawieszeni na wątłych gzemsach, spadający z wysokich pięter, uczepieni za prześcieradła lub... warkocze, umarli wielokrotnie, zanim ocaleli. Matka spuściła na bruk dziecko, które natychmiast skonało, a potem sama wyskoczyła po to tylko, ażeby przy niem ledz w grobie. Błogosławiona śmierć, która połączyła dwie kochające się istoty. Życie tylko unieszczęśliwiłoby tę matkę — lepiej więc, że ją odbiegło i nie zmusiło do noszenia w piersi wstrząsających wspomnień. Boleść spoczęła w grobie, który ją jedynie mógł ukoić. Tam ucieczka dla nieszczęśliwych,[1] gdzie wszystkie cierpienia ustają. Tak, grób jest dobrym, poczciwym ojcem i lekarzem dla tych, których przyjmuje — okrutnym ciemięzcą tylko dla tych, których pozostawia. Szczęściem, że przynajmniej i dla tych kiedyś otworzyć się musi.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Co to jest „chłopskość" i rozprawy z jej powodu. — Spóźniony bohater. — Samolubstwo inteligencyi. — Pomoc lekarska. — Sprytny sędzia. — Tragedya chłopska.

Redaktor *Gazety toruńskiej*, p. Danielewski w korespondencyi pomieszczonej w *Słowie* uczy *Prawdę*, że tylko na gruncie katolickim działać można wśród ludu, Prusowi zaś wyjaśnia, co to jest „chłopskość." Nie poruszam tu zarzutu skierowanego do nas, bo nie należy do tej rubryki, pragnę jednak pomówić nieco o „chłopskości," która wypłynęła nagle na porządek dzienny.

P. Danielewski i *Słowo* sądzą, że zrobili wielkie odkrycie, twierdząc, iż „chłopi naprawdę istnieją" i jest ich z 50,000 w Warmii," my zaś wiemy już oddawna, że jest ich przeszło 10 milionów, którzy wszyscy, podobnie jak ich bracia-warmiacy, „na swoją chłopską biedę chłopskim rozumem rady szukają." Otóż ta bieda i ten rozum, to właśnie owa „chłopskość," której korespondent toruński szukać każe warszawskim fejletonistom aż w Warmii, chociaż i u nas tak samo w sprawach swoich lud obywa się bez inteligencyi, nie dlatego wprawdzie, że jej nie ma, ale dlatego, że znać jej nie chce, na czem, nawiasem mówiąc, lepiej nieraz wychodzi, niż gdyby rad życzliwych słuchał.

Ciekawem jest zestawienie, jakie robi Prus, dwu okolic: w Warmii, gdzie „bez inteligencyi" chłopi radzą „o prawach człowieka i obywatela," i Galicyi, gdzie „przy obfitości inteligencyi, chłopi tak lękają się powrotu pańszczyzny, że przygotowują kosy, cepy, noże i tasaki." Niemniej ciekawem byłoby także porównanie siły i świadomości poczucia narodowego w Warmii, gdzie, według socyologii naszej, nie ma narodowości polskiej, bo ta bez szlachty, duchowieństwa i inteligencyi istnieć nie może — i u nas, gdzie tych trzech czynników rozwoju społecznego nie braknie chyba.

Tę samą sprawę „chłopskości" podnosi również kronikarz *Gazety polskiej*, ale dochodzi do jedynego tylko wniosku, że należy poznać lud. Wypadałoby tu zapytać jeszcze: w jaki sposób poznawać go, gdyż jest to rzecz pierwszej wagi. P. Z. K. mimochodem rzucił bardzo trafną uwagę, która, właściwie objaśniona, lepiej tłomaczy nam moralne i społeczne strony życia ludowego, aniżeli całe tomy sprawozdań statystycznych. „Lud nasz—powiada on—przebywa dotąd jeszcze historyę starożytną, nie zdołał on wyjść jeszcze z epoki mitologicznej." Pod pewnym względem jest to zdanie zupełnie słuszne, postawione w świetle jego, wyrzekania o niemoralności i występkach ludu nabierają dopiero odpowiedniej barwy. „Wszak dawne bogi, dawni bohaterowie za toż samo sławieni byli w epopejach"—mówi p. Z. K. O tem zapominają właśnie nasi moraliści, którzy nie zastanawiają się nad tem, że w dzisiejszych czasach i bohaterowie Homera siedzieliby w kryminale, a nawet najdzielniejsi z nich wędrowaliby może do „bardziej oddalonych" miejscowości Scytyi, i że los ten zasłużenie dzieliliby rycerze epoki późniejszej, których dzięki „przewadze uczuć i poglądów historycznych" wielbimy nieraz jako „sterczące z ruiny dziejów pomniki sławy."

Czyż to nie bohater, nie starożytny nawet, ale średniowieczny, ów Adam Pińczuk mieszkaniec zaścianka Zadworze w Słucku, który wespół z rodziną słynął na całą okolicę z rabunków i podpaleń? „Pińczukowie" — pisze korespondent *Gazety warszawskiej*—„rok rocznie odbierali z okolicznych wiosek, zaścianków i dworów nakładany przez siebie haracz, włościanie uprawiali im darmo pola, szlachta dawała zboże, inwentarz i drzewo z lasu." Wreszcie przyprowadzeni do ostateczności wasale zbuntowali się, napadli średniowiecznym obyczajem na zagrodę Pińczuków i zamordowali spóźnionych o kilkaset lat bohaterów. Dzisiaj Pińczukowie w oczach cywilizowanego społeczeństwa słusznie uchodzą za łotrów i złoczyńców, ale przed kilkoma wiekami w ten sam sposób postępowali bohaterowie, których potomstwo rości obecnie sobie prawo do kierownictwa w narodzie; w ten sam sposób formowały się „gniazda orłów," których pisklęta szczebioczą wciąż jeszcze o niespożytych zasługach przodków. Poznać lud — to dopiero połowa zadania, trzeba bowiem jeszcze dać mu się poznać, a kto wie, czy ta druga połowa nie jest trudniejszą. „Dziś nawet złodziej zesłany na pobyt posiada u chłopów więcej zaufania i powagi, aniżeli inteligencya mieniąca się kierownikami społeczeństwa"—robi uwagę Prus i dodaje: „Nie ma większej boleści, większego wstydu, jak stać się obcym wśród swoich i dla swoich. Jest to zaś punkt, do któregośmy już doszli."

Tak doszliśmy szczęśliwie w rozwoju historycznym i stoimy na skraju otchłani, dzielącej ciemną i zwartą masę od drobnej gromadki „mniejszości inteligentnej." Otchłań tę przebyć by mogły chyba ostatnie szeregi, gdyby pierwsze z poświęceniem życia wypełniły ją swemi ciałami, my jednak nad nią rzucamy dotychczas tylko papierowe mosty z książeczek ludowych, mosty, po których dojść zamierzamy do spokojnej przystani „dobrowolnej ugody o służebności."

Trzeba nam samym przerobić się i odrodzić, zanim damy poznać się ludowi, bo kiedy zobaczy nas w nagiej ohydzie inteligentnego samolubstwa, odwróci się od nas, jak dziś się odwraca i niewiara jego wzmoże się tylko. Najuczciwsi z tych, którzy się doń obecnie zbliżyć pragną, i ci działają w swoim, ale nie w jego interesie, chcąc skierować go do celów, których jeszcze nie rozumie, dostroić do pragnień, których nie odczuwa. Zapewne, ludzie ci czynią to w szczerem przekonaniu, że działają na korzyść ludu, ale nie pytają go bynajmniej o jego zdanie. Ostatecznie jest to przecie samolubstwo, tylko że uszlachetnione dobremi chęciami, samolubstwo pożyteczne nawet, ponieważ przemawiają za niem poważne argumenty, że w rezultacie działań jego wyniknie korzyść ogółu. Ci są najlepsi. Nie mówię o tych, którzy świadomie zbliżają się do ludu, ażeby wyzyskać go dla korzyści osobistej, ale oprócz tych dwóch kategoryj najgorszej i najlepszej, cała masa inteligencyi albo zupełnie odsuwa się od obcowania z ludem, albo też wchodzi z nim w stosunki, pragnąc użyć go jako narzędzie do osiągnięcia celów, których wykładnikiem jest interes osobisty lub klasowy, utożsamiony w dobrej wierze z interesem ogółu. Ten sam kronikarz *Gazety polskiej*, który tak gorąco przemawia za zbliżeniem się do ludu, o kilkanaście wierszy niżej ocenia w cyfrach zysk, jaki przedstawicielom inteligencyi przyniešć może rozbudzenie się w nich uczuć obywatelskich i braterskiej miłości dla chłopów, bo „wogóle porozumienie się z włościanami bywa często rzeczą, przynoszącą natychmiastowe materyalne korzyści w gotowym groszu, dające się ocenić na 50% i 100% w stosunku do poprzednich dochodów." Tu następuje przykład, jakie to korzyści osiąga obywatel ziemski ze zniesienia służebności.

Rozprawy dziennikarskie o służebnościach świadczą najlepiej, jak mało jeszcze u nas „chłopskość" znajduje względów, nawet wśród tej inteligencyi, którą osobiście załatwienie sporów o lasy i pastwiska nie obchodzi wcale. Dotychczas tę sprawę rozpatrywano bądź to ze stanowiska interesów własności większej, a więc jednostronnie, bądź też specyalnie—ze stanowiska większej produkcyjności gospodarstwa narodowego. Ten ostatni pogląd, zamknięty w określonych granicach, może być zupełnie słusznym, nie przesądza jednak o ekonomiczno-społecznem znaczeniu sprawy. Nie wchodzę tu w rozbiór pytania: czy zniesienie służebności jest lub nie jest korzystnem dla włościan, zaznaczam tylko, że nikomu nie przyszło na myśl poważnie rozpatrzyć rzecz całą z tego punktu widzenia. Przepraszam, o ile wiem, odezwały się w ten sposób nieśmiało dwa głosy, jeden w piśmie przeznaczonem dla inteligencyi, drugi, chłopski — w *Gazecie świątecznej*. Pierwszy pominięto milcze-

niem, drugi zahukano krzykiem. Czy to nie charakterystyczne?

Dotychczas nie wiemy więc zgoła, czy dla chłopów pożądanem jest zniesienie służebności, czy też utrzymanie ich i na jakich warunkach. Ale za to wiemy bardzo dobrze, że dla własności większej, obciążające ją, serwituty są niemałą przykrością — to nam wystarcza, aby przy każdej sposobności wołać głośno, jeżeli nie do nieba, to do władzy ziemskiej o ich zniesienie, lub z lada jakiego powodu pleść trzy po trzy o tej sprawie.

Ten sam *Kuryer warszawski*, którego fejletonista tak pięknie i rozumnie mówi o „chłopskości,“ donosząc o pożarze wsi Samoklęsk, dodaje: „ponieważ serwituty leśne są już uregulowane, więc odbudowanie spalonych domów może nastąpi natychmiast.“ Ciekawa rzecz, coby przeszkadzało istnienie serwitutów, gdyby włościanie mieli prawo brać drzewo na budynki, i co im pomoże zniesienie służebności, jeżeli w otrzymanym za to kawałku lasu nie ma wcale budulcu?

Gazeta radomska podaje szczegóły o pomocy lekarskiej w tej gubernii. Służba zdrowia składa się z 38 doktorów, 155 felczerów, 30 akuszerek i 8 t. z. babek. Doktorzy zaledwie wystarczają dla inteligencyi, felczerzy, o ile nie golą i nie strzygą tejże inteligencyi, stawią czasem bańki i puszczają krew chłopom, wykwalifikowane akuszerki zaledwie wydążą wprowadzać na świat dobrze urodzone dzieci, dla 500,000 włościan pozostaje 8 babek no i matka — natura. Operacye akuszerskie odbywają się nieraz za pomocą obcęgów kowalskich lub pogrzebacza! Kończą się zaś zamordowaniem płodu i męczeńską śmiercią położnicy. „Cóż dziwnego, że następstwem takiej opieki jest straszna cyfra śmiertelności położnic, przerażająca liczba dzieci nieżywo-urodzonych i upadek zdrowia powszechnego.“ Cóż dziwnego, że lud nasz wyradza się fizycznie, czego dowodem chociażby ten fakt, że miara wzrostu dla rekrutów w ciągu ostatnich lat trzydziestu kilkakrotnie zmniejszoną została. *Gazeta radomska* robi słuszną uwagę, że „lekarze niezbędni są nietylko dla tych, którzy mają za co leczyć się, ale i dla ogółu potrzebującego ratunku“ i podnosi gorąco projekt utworzenia posad lekarzy gminnych. Z innego źródła dowiadujemy się, że sprawa ta poruszoną została właśnie w sferach rządowych, może więc doczeka się urzeczywistnienia.

Dla przygotowania akuszerek otwarto przy instytucie położniczym w Warszawie bezpłatny kurs dla t. z. babek wiejskich. Gminy mają prawo wysyłać do tej szkoły kandydatki, ale nie korzystają z prawa swego, bo chłopi nie wiedzą o tem wcale a inteligencya również nie wie, zresztą mało ją obchodzi, jak się tam dzieci chłopskie rodzą. Obecnie w Radomiu zajęta jest ona nauką jazdy na welocypedach, pragnąc za przykładem Warszawy otworzyć miejscowy „klub cyklistów.“

Z Olkuskiego donoszą *Gazecie świątecznej* o rozmaitych sprawkach pewnego podupadłego kierownika społeczeństwa, którego z powodu niezdolności do innych zajęć wypromowano na sędziego gminnego. Pan sędzia urzęduje już drugie trzechlecie, co na pozór zdawałoby się świadczyć na jego korzyść. Tymczasem okazuje się, że sprytny szafarz sprawiedliwości czułym jest bardzo na kubany, popularność zaś zyskuje w ten sposób, że sprawy osób, mających prawo głosowania, zwłaszcza zaś wpływ w gminie, rozsądza zwykle na ich korzyść. Jeżeli przed wyborami zdarzy się sprawa, w której obie strony należą do głosujących i wpływowych, pan sędzia odkłada ją na później. Kto nie ma prawa głosowania, lub pochodzi z innego okręgu — przegrywa zawsze. Zasada ta jest stosowaną bardzo ściśle. Procedurę również uproszczono, zeznania świadków nie odczytują się wcale, wtajemniczony w sprawę ławnik bada w sąsiedniej izbie „dowody“ stron i oddaje pierwszeństwo silniejszym... ilościowo. Pan sędzia, wprawdzie na swój sposób, ale zbliżył się do ludu i chętnie obcuje z prostaczkami.

Gazeta lubelska donosi o strasznym wypadku dzieciobójstwa. Dziewczyna wiejska urodziła dwoje bliźniąt i jedne z nich pozbawiła życia, drugie zaś wychowywała starannie. Badana o przyczynę swego postępku, zeznała, że zabiła jedno dziecię z nędzy, ponieważ dwojga wyżywić nie mogła. Czy i ta matka, która odebrała życie jednemu dziecku, aby ocalić drugie — czy i ona według utartego terminu nazywać się będzie wyrodną, czy też tylko nieszczęśliwą ofiarą takich stosunków, przy których życie ludzkie okupuje się śmiercią brata, które zmuszają matkę do tak okropnego wyboru, że nawet wyobraźnia ludzka nie wymyśliła dotychczas nic równie straszliwego, jak ta tragedya chłopskiej nędzy?

J. Nieborski.

O PRAWDĘ.

I.

W odpowiedzi, dodanej do mego sprostowania w N-rze 17-tym *Prawdy*, p. Hirszband zdaje się mieć żal do mnie, że „niedawnego swojego słuchacza nie zaszczycam bezpośredniem do niego zwróceniem się,“ lecz *prostuję* tylko jego zdania. Żałuję mocno, że p. Hirszband nie posiada tyle bystrości, aby zrozumieć przyczynę tego prostego faktu. Mnie chodzi o rzecz, a nie o osobę. Ja nie mam powodu *podrywać* powagi mego „niedawnego słuchacza,“ ani liczyć lat, kiedy o nim świat zapomni; nie myślę też o tem, czy jada „szczupaki,“ lub nie; nie troszczę się o jego *puste ideje, logiczne koziołki, baśnie* i napuszone *pretensye*; nie śledzę za szczupłymi zasobami jego „arsenału duchowego,“ za jego *ignorancyą, naiwnością* i *absurdami*. To wszystko są dla mnie rzeczy bardzo obojętne. Tej pracy Syzyfa wcale podjąć się nie myślę. Na to wszystko zapatruję się w istocie ze „spokojem profesorskim,“ przywykłym do tego rodzaju objawów u nas, gdzie wykształcenie filozoficzne i przyzwoitość literacka stoją, niestety, jeszcze na dość niskim stopniu rozwoju. Z tego „spokoju profesorskiego“ nie zdoła mnie wyrwać ani Hirszband, ani materyalizm, porównywany przez p. Hirszbanda z „młodym junaką.“

To też i obecnie pomijam, o ile można, p. Hirszbanda i pragnę tylko dla *czytelników Prawdy* wyjaśnić, z mego stanowiska, w sposób jak najtreściwszy kwestyę materyalizmu, którą p. Hirszband sofistycznie przedstawia dla ukucia argumentu przeciwko mojej „powadze“ profesorskiej.

Teorya materyalizmu za jedyny i wyłączny czynnik w świecie uznaje *materyę*. *Siła*, ze stanowiska materyalizmu, jest tylko *własnością* materyi, materyą w stanie *ruchu*, i nie ma po za nią żadnego samodzielnego bytu. Jeżeli Büchner, pomimo to, nazywa siłę, a w skutek tego i *myśl* czemś *niemateryalnem*, różnem od materyi, czyni to tylko z powodu braku ścisłości i konsekwencyi, jak mu to jasno już Lange wykazał w swej *Historyi materyalizmu* (wyd. 3-cie, t. II, str. 96 i nast.). Takie uznanie *niemateryalności* siły i myśli nie jest już materyalizmem, lecz zgadza się, według słów Langego, z poglądami „najprawowierniejszego spirytualizmu.“ To też tacy materyaliści jak Cabanis, Karol Vogt i inni mają myśl za zupełnie materyalny produkt mózgu. Oni to, a nie Büchner, wygłosili zdanie, charakteryzujące w sposób „typowy“ teoryą materyalizmu, że *myśl jest tak samo wytworem mózgu, jak żółć jest wytworem wątroby, a mocz wytworem nerek*. Nawet Du-Bois-Reymond broni tego poglądu pod pewnymi względami (Lange, t. II, str. 152).

Jeżeli tedy, p. Hirszband chyba nie zaprzeczy, że żółć i mocz są *substancyami materyalnemi*, pomimo, że się wytwarzają w organizmie pod cudownym wpływem „sumy nieskończonej współczynników,“ to już żadna sofistyka nie ocali go od konsekwencyi, że według teoryi materyalizmu i *myśl* sama jest podobną substancyą materyalną. Zresztą czemże jest siła w znaczeniu materyalnem, jeżeli nie ruchem cząstek materyalnych? Czemże ze stanowiska materyalizmu mogłaby być myśl, gdyby nie była materyą w tej lub owej formie? Sam Büchner często nazywa siłę *własnością* (Eigenschaft) materyi.

A teraz kwestya organizmu i mózgu.

Żółć i mózg, jak wiadomo, istnieć mogą i po za organizmem, jako jego wydzieliny i nadto dają się rozłożyć na pierwiastki chemiczne, o pewnych własnościach materyalnych. To odnosi się tedy także i do substancyi myślowej, wytwarzanej według materyalizmu w mózgu. Cóż więc dziwnego, że krytyk materyalizmu domaga się, aby zwolennicy tej teoryi wykazali: z jakich właściwie pierwiastków chemicznych składa się owa sekrecya mózgu i w skutek jakich procesów znane i po za mózgiem pierwiastki chemiczne materyi nabierają w nim ową własność myślenia?

Na te pytania materyalizm odpowiedzi nie daje i dać nie może. Tylko p. Hirszband, pomimo swej „serdecznej *pogardy* (!!) dla materyalizmu,“ ma, jak się zdaje, gotową odpowiedź na powyższe pytania. Wynika to przynajmniej z jego mniemania, że materya, z natury swej bezmyślna, może się stać w mózgu myślącą w skutek samych procesów materyalnych. „Dlaczego, pyta p. Hirszband, materya w mózgu i po za mózgiem musi być tą samą?“ I na tem pytaniu opiera wszystkie swe „filozoficzne“ frazesy o urąganiu logice, ignorancyi i podrywaniu powagi profesorskiej. A jednak odpowiedź na to pytanie jest bardzo prostą i musi być do pewnego stopnia znaną nawet p. Hirszbandowi, bo inaczej nie wyrzekałby się materyalizmu, lecz powinienby go „serdecznie bronić.“

Otóż dlatego materya nie jest i nie może być inną w mózgu, a inną po za mózgiem, że: 1-o nie wykryto dotąd w mózgu żadnych pierwiastków chemicznych jemu tylko właściwych, a zdolnych usprawiedliwić przyjęcie osobnej materyi mózgowej w różnicy od materyi powszechnej; 2-o że prawa procesów chemicznych i ruchu cząstek materyalnych są jedne i też same w całym świecie materyalnym, i wreszcie 3-o że przyjęcie w mózgu odrębnej substancyi myślącej w różnicy od pozostałej materyi, równałoby się przyznaniu istnienia *duszy* w mózgu.

Kto pomimo to przypuszcza, że mózg przeistacza substancyę materyalną na *niemateryalną* myśl, niedającą się ani chemicznie, ani fizycznie określić, ten przestaje już być konsekwentnym *materyalistą* i wpada w ów „spirytualizm,“ o którym mówi Lange, krytykując Büchnera.

Z powyższego wynika w sposób przekonywający, że p. Hirszband, uznając, wbrew Langemu, chaotyczne poglądy Büchnera za „typowy“ materyalizm, nie wytworzył sobie dotąd jasnego pojęcia o tej teoryi. Z jakiego zaś powodu, pomimo to, chce mnie uczyć, czem jest materyalizm, tego już bliżej nie rozbieram, bo to jest znowu kwestyą osobistą samego p. Hirszbanda.

Henryk Struve.

II.

Ponieważ nie wszyscy mogą bezpośrednio zaznajamiać się z filozofią p. Struvego, przeto dla powetowania społeczeństwu tej niepomiernej straty, zamieszcza on powyżej skrót swej krytyki materyalizmu, dedykując ją niżej podpisanemu. Z tym darem nie Danaów nie wiem do prawdy co czynić, albowiem gdybym nawet był w smutnej konieczności uczenia się dopiero filozofii, pierwszy lichszy podręcznik spełniłby to zadanie niezmiernie lepiej, niż szanowny mój mistrz.

Uważam bowiem teraz z żalem, żem się nie poznał na p. Struvem i niedostatecznie zgłębił

całą otchłań dzielącą jego wyobrażenie o materyalizmie od przybliżonej choćby prawdy i jakiej takiej prawidłowości rozumowania. Starałem się dowieść i — jak mniemam — dowiodłem, że wymaganie objawów duchowych od materyi — np. fosforu, po za organizmem i mózgiem jest lichym sofizmatem z każdego stanowiska, a więc i z punktu widzenia materyalistów, jako przykład przytoczyłem Büchnera. Lecz p. Struvemu nie podoba się, że Büchnera mam za typowego materyalistę i mniema, że jego oczekiwania łatwiej ziszczą Cabanis, Karol Vogt i Du-Bois-Reymond. Z radością więc, jakiej chyba nie doznał Kolumb, ujrzawszy brzegi upragnionej ziemi, wynajduje znany frazes pierwszego z nich, powtórzony przez drugiego i broniony przez trzeciego a utożsamiający jakoby proces wydzielania się myśli z mózgu z sekrecyą żółci z wątroby i moczu z nerek. Argument to w istocie ważny — ale *dla mnie*, bo stanowi wyborny kamień probierczy już nietylko subtelności, ale i uczoności autora.

P. Struve pojmuje formułę ową w ten, ni mniej ni więcej, sposób, że według rzeczonych myślicieli dusza, jako ogół objawów świadomości jest namacalną, mającą kształt, wymiary, barwę, zapach i smak podobnie jak żółć i mocz! Wybaczcie czytelnicy, ale fizyologia — jak mówi Lange — nie zna różnic estetycznych; że posiada wszelkie własności fizyczne i chemiczne. Myśl jest tedy „substancyą materyalną“ i przeto „nic dziwnego, że krytyk (!) materyalizmu domaga się wykazania z jakich pierwiastków chemicznych składa się ta „sekrecya mózgu.“

Oto apogeum, do jakiego doszła dzisiaj filozofia polska.

A przecież nie trzeba być „doktorem od filozofii,“ jak się w zaraniu swej sławy nazwał p. Struve, lecz średnio rozwiniętym śmiertelnikiem, ażeby dotrzeć do właściwego jądra.

Wszyscy wzmiankowani pisarze chcieli w powyższej definicyi wyrazić *analogię*, jaka zachodzi między procesem wytwarzania się myśli z mózgu a procesem żółci i moczu. Chodziło im o *pokrewieństwo pochodzenia z materyi* — ale nie o powinowactwo otrzymanych w ten sposób produktów. Inaczej bowiem musieliby wymazać raz na zawsze wszelką różnicę między oderwaniem i konkretnością, między materyalnem podścieliskiem a jego własnością i siłą, musieliby, słowem, w mistyczny jakiś sposób przeobrazić swój własny umysł i wyrugować zeń wszelkie pojęcia abstrakcyi, którego to cudu dokazać potrafi tylko p. Struve. Zresztą i on sam nawet przyznaje, że „w znaczeniu materyalnem“ siła jest „własnością materyi,“ jest „ruchem jej cząsteczek.“ A jeżeli tak, to przy elementarnej konsekwencyi należało dojść do wniosku o znakomitym przedziale między *materyą* a *ruchem* lub *siłą*. Utożsamianie zaś siły z materyą — dajmy na to: ciała z jego przyciąganiem, mięśnia ze skurczem — jak to czyni p. Struve jest fatalnem lapsus... rationis. I od tego zarzutu nietylko że są wolni Cabanis lub Vogt, ale najpośledniejszy maruder materyalizmu. Tylko więc pod przenośnią mógłbym np. czyjąś filozofię, jako sumę pewnych fantasmagoryj czyli *pojawów psychicznych* nazwać co do barwy *szarą*, co do spoistości — *miękką*, co do smaku — *mdłą* itd. ale brać jej pod mikroskop, jak żółć lub mocz — nie mógłbym, bo może nic bym tam nie obaczył...

W swych najrozpaczliwszych nawet wyprawach, materyalizm w podobną niedorzeczność wpadać nie potrzebował. Jemu chodzi tylko o to, by dowieść, że wszystkie nasze władze duchowe można i *należy* objaśniać materyą i do jej czynników sprowadzać, że zbyteczna przyjmować jakąś resztę racyonalną metafizycznej natury, która nie jest z materyą pojęciem współmiernem, ani współrzędnem. Najbardziej krańcowym przedstawicielom szkoły o więcej chodzić *nie mogło*. P. Struve jako „krytyk materyalizmu“ uważał za zbyteczne zbadać go, a za dostateczne odmalować sobie i innym jako stek okropności — przypiął mu więc rogi, ogon, okrył skórą kosmatą i obdarzył innymi podobnemi dodatkami. Nie wie, czy wiedzieć nie chce, że Cabanis ma wybitny podkład panteistyczny, we wszystkich jego dziełach widoczny (zwłaszcza w *Rapport du physique et du moral de l'homme*) i nawet przyjmuje *vitalizm*, że dążnością Vogta było tylko przeciwdziałać cudowności i że jako zdanie charakteryzujące jego system, Fr. Ueberweg przytacza słowa: „fizyologia uznaje w czynnościach duszy funkcyę mózgu, jako *materyalnego substratu*“ (*Gesch. der Philosophie* 6 wyd., tom 3 str. 432) a więc materya jest *substratem*, a nie samym duchem! Du-Bois-Reymond zaś, aczkolwiek broni formuły Cabanisa, jednakże *a może właśnie dlatego* pojmuje ją jak należy i w „Granicach poznania natury“ wszędzie odróżnia zjawiska duchowe od ich źródła — np. w zdaniu: „nie można ganić Vogta, że czynność duchową podaje za wytwór materyalnych warunków w mózgu.“ Toż samo stosuje się do Czolbego, Moleschotta i in. Jakże wobec tego brzmi objaśnienie p. Struvego?

Ale p. Struve gardzi podobnemi nizinami krytyki i po swojemu przypisuje materyalistom, że objawy ducha utożsamiają z pewną „substancyą chemiczną.“ Dosięgłszy tych wyżyn krytyki odwraca zdanie mówiąc: owa substancya (np. fosfor) powinnaby tedy wszędzie ujawniać ducha. Z tą pochodnią światła, nachyla się ku ciemnym kątom materyalizmu i twierdzi, że materyalizm powinienby myśl „chemicznie i fizycznie“ określić, zarzuca mu, że „nie wykrył dotąd w mózgu żadnych pierwiastków chemicznych jemu tylko właściwych.“ Mniemam, że materyalizm, pomimo całej swej grzeczności dla wielkich umysłów, tej satysfakcyi p. Struvemu nie da, pobóch uznaje w materyi własności i siły. Deprawdy, jeśli wprzód nazwałem rozumowanie p. S. grubo materyalistycznem, to każdy dziś widzi, że jest ono... idealnem.

Na zakończenie — słówko o mojej nieprzyzwoitości literackiej, na którą skarży się sam autor. Sądzę, że bardziej przyzwoitym, a nawet rycerskim, niż ja, niepodobna być — albowiem mówiąc o *Estetyce barw* przyznałem mu pewne zasługi, w których dziś nie dałbym odwagi widzieć coś więcej nad dobre chęci.

Wogóle pomimo licznych zastrzeżeń, p. Struve nadał wszczętej przez siebie polemice ze mną ton osobisty i zdradził tem wielką drażliwość, układając zaś z moich wyrażeń odpowiedź — wszyskiem jeszcze... dar naśladownictwa. Z tem wszystkiem jest tam dla mnie niemały komplement. Mianowicie p. Struve nazywa pracę obliczenia lat „kiedy o mnie świat zapomni,“ Syzyfową. Żałuję, że nie mogę odpłacić mu pięknem za nadobne, dla podjęcia bowiem tej samej pracy co do p. Struvego — mojem zdaniem — byłoby dosyć zdolności człowieka, umiejącego liczyć do cztetech *).

N. Hirszband.

*) Przedmiot tej polemiki uważamy za wyczerpany. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Obdłużenie własności większej. Na 7,178 obywateli ziemskich, którzy mają na swych dobrach pożyczkę Towarzystwa kredytowego, zaledwie 2,774 tj. 37½% jest wybieralnych, co znaczy, że długi nie dochodzą połowy wartości majątku.

Mianowanie. Redaktorem *Warsz. Dniewnika* został p. Kulakowskij, lektor języka rosyjskiego w uniwersytecie tutejszym. *Dniewnik*, jak wylicza *Niedziela*, przynosi redaktorowi 15,000 rs. dochodu.

Nasza oszczędność. W r. 1885 wypito w Królestwie 327,574 butelek szampana, licząc butelkę tylko po 5 rubli, wyniesie to 1,637,870 rs. No, a przecież pili ludzie inne jeszcze gatunki win.

Towarzystwo literackie imienia A. Mickiewicza założone zostało we Lwowie w celu zbierania materyałów do życia poety, oraz rozjaśniania i rozpowszechniania dzieł jego. Członkiem nadzwyczajnym może być każdy, kto złoży 4 zlr. rocznie.

Instytut rolniczo-leśny w Nowej Aleksandryi liczy obecnie 256 studentów, w tej liczbie z Królestwa zaledwie 30%.

Jubileusz. Teatry rosyjskie obchodziły niedawno 50-letnią rocznicę przedstawienia znakomitej komedyi Gogola — *Rewizor*. Z tego powodu dzienniki zamieszczają mnóstwo ciekawych szczegółów o tem, jakie wrażenie wywarł na współczesnych ten śmiały, satyryczny utwór. Wyższe sfery były bardzo niezadowolone z komedyi, ale cesarz Mikołaj, obecny na pierwszem przedstawieniu, zachwycił się oryginalnością sztuki, wobec czego wszelkie intrygi musiały upaść. Wychodząc z teatru, zwrócił się do swego otoczenia i zawołał: „No, dostało się wszystkim, ale mnie najlepiej.“

Szczere wyznanie. Rada miejska w Stryju prosiła — jak wiadomo — rząd, żeby ją rozwiązał z powodu nieudolności. Korespondent lwowski *Dziennika poznańskiego* podaje przemowę jednego z członków rady do wiceprezesa namiestnictwa p. Löbla: „Panie prezesie! Przykro to powiedzieć, ale *pro publico bono* musimy już uczynić tę ofiarę z miłości własnej i wyznać otwarcie, żeśmy tu wszyscy bałwany. Tak, powtarzam z głębokiem przekonaniem: jesteśmy bałwanami, musimy więc prosić, żeby wysoki rząd raczył nas rozpędzić, a na nasze miejsce przysłał nam tu człowieka z głową.“

Szkoła realna z Włocławka ma być przeniesioną do Kalisza.

Nędza. *Peterb. Wiedomosti* podają, że tylko w 29 guberniach Cesarstwa naliczono w 1882 r. 1,000,000 osad włościańskich, które nie miały ani jednego bydlęcia roboczego. W gub. riazańskiej, niżegorodzkiej, jarosławskiej, moskiewskiej i woronezkiej 30% osad nie miało ani konia, ani krowy. W niektórych powiatach w ciągu ostatnich 8 lat ludność zmniejszyła się o 5%.

Ustawa normalna dla szkół technicznych przy drogach żelaznych pozostawia kurs trzyletni, ale wprowadza mundury i dozór ze strony ministeryum komunikacyj, oraz oddzielnych kuratorów, wybieranych przez zarządy kolei. Uczniowie w służbie wojskowej korzystają z ulgi 3-go stopnia.

Bibliografia. M. Heilpern: *O wartości pożywnej chleba wobec nowoczesnej techniki piekarskiej.* Warszawa.

— *O położeniu obecnem ubezpieczeń rolnych w Królestwie Polskiem.* Płock.

— A. A. Kryński. *Słownik* wyrazów godnych uwagi, użytych w „Porządku prawa bartnego“ dla starostwa łomżyńskiego z r. 1616. Kraków, 1886.

— R. Baudouin de Courtenay: *Korespondencya poufna* ex agenta dyplomatycznego z damą dworu i wyjątki z jej dziennika od r. 1813—1819. Kraków. 1886.

— J. Kochanowski. *Dzieł wszystkich* tom III, wydanie pomnikowe.

Kupno. Znakomitą bibliotekę po W. A. Maciejowskim nabywa British Museum, w kraju nie znalazł się nikt, ktoby chciał ją kupić, chociaż względnie do wartości cena była bardzo niska.

Dzieje teatru warszawskiego opracowuje zbiorowo kilku literatów tutejszych.

Cło od win zagranicznych podwyższone będzie o 25%.

Kolonizacya. *Alliance israelite* zakłada w Galicyi kolonie rolnicze żydowskie. Każdy kolonista otrzyma 2 morgi gruntu, dom i 200 guldenów gotówką. Dotychczas zgłosiło się już 2,000 kandydatów, którzy zapewne do pracy rolnej nie wezmą się wcale, bo gospodarstwo na 2 morgach nie da im środków do życia. Nie jest to więc kolonizacya rolnicza, ale po prostu ułatwienie żydom osiadania po wsiach.

Statystyka. W Petersburgu 588,235 ludzi pracuje w różny sposób na własne utrzymanie, 273,068 wcale nie pracuje. W tej ostatniej liczbie znajduje się 82,520 mężczyzn i 190,548 kobiet.

Zmarli. Faustyn Cengler, rzeźbiarz.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Barb. Dęb. Myśl wzniosła, obrazowanie jej śmiałe, energii i zapału dużo, ale pospiesznych ruchów i potknięć pióra również bardzo wiele. Autorstwo jest nietylko zdolnością, jest ono także pracą, której w obrazku Pani znaleźliśmy za mało.

P. Jg. L. Szkic zbyt pobieżny; charaktery nie rysują się nawet w konturach. Żadna postać nie ma normalnego kręgosłupa.

P. Stef. K. w Dubl. Nie. Osnowa i jej ramy powszednie.

Semicie. Przykłady te pomnożyć by można wielokrotnie, ale — jak Pan sam się przekonał — byłby to groch na ścianę.

Demonowi. W wierszu nie ma ani rytmu, ani rymu, ani sensu, ani nawet ortografii. Żadne pismo szpalt, a rozumna kobieta swego serca nie otworzy Panu, dopóki na jej cześć pisać będziesz: *rzarzy, róchy, jurz* i t. p.

P. R. w Sosn. Nie pseudonym, lecz nazwisko właściwe.

P. Kazim. Wł. Owszem, niech głębokie dusze wysypią z siebie wszystko i wywrócą się na drugą stronę — wszakże to dar dla... „literatury."

P. Janisz. w Niemir. Czytaj Pan dalej, zwłaszcza że już i mimowolny humor trysnął obficie. Sznureczek z babiego lata pękł, teraz występują noże i odezwy rewolucyi pałacowej i obozowej. Jakaś „partya" zbuntowała się przeciw jakiemuś „hetmanowi" i wydziera mu „berło." Trudno nie parsknąć śmiechem, widząc tę „partyę" i tę degradacyę *in effigie.* Dymisya podpisana, wkrótce zapewne nastąpi nominacya nowego „komendanta." Jak Pan widzisz, stosujemy radę przytoczonej bajki.

P. Kl. w Pet. Jest to epidemia, powtarzająca się stale co czas pewien. Przed 11 laty grasowała z tymi samymi objawami i wyszła z tego samego *tangu.*

X. X. studentowi. Lekarzem nie jest, pacyentami nazywa osoby, które obserwował, lub którym radził, przy innych zaś wzmiankach tego rodzaju prawdopodobnie opuszczony został cudzysłów.

S. K. Zoologia Nowickiego, botanika i mineralogia Kornego, w przeróbce Rzepeckiego.

P. Wit. K. Nie uważaj Pan nas za instancyę ostateczną i zaapeluj do innej redakcyi, może Panu przysądzi talent. My go w dotychczasowych próbach nie widzimy.

P. A. L. P. 1) Powieść Sienkiewicza drukuje się w *Słowie* i *Czasie.* Napiszemy o niej po skończeniu. W każdym razie jest to utwór dużej siły, a zaznaczone przez Pana usterki nie wiele ważą. 2) Nie jest to krytyka, ale bzdurzenie. Talent Pr. posiada znamiona wprost przeciwne.

ao. Ur. w r. 1813, jest autorką utworów, wydanych p. t.: *Contes et poesies, Poesies* (filozoficzne), *Poesie d'une solitaire.* Szczegóły dalsze znajdzie Pani w artykule *Ateneum* z czerwca r. z.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Мая 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.